Nr. 177. Lwów — Sroda dnia 5 Sierpnia. Rok 1903.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k 20 h, w Niemczech . . . . 3 „ — „, w innych Państwach . . 4 „ — „. Za zmianę adresu dopłaca się 10 „. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h, tłustym garmondem „ „ 6 h, koresp. prywatne „ „ 8 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: Ś. | NMP. Śnieżnej | R. | Trofyma i Teofila
Jutro: P. | Przem. Pańskie | R. | Krystyny

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o godz. 4 m. 47, Zachód „ „ 7 m. 24

Długość dnia godzin 14 minut 37. Ubyło dnia od wczoraj 2 min.

Adres opozycyi węgierskiej.

Dzienniki peszteńskie ogłaszają właśnie projekt adresu, jaki opozycyjne stronnictwa węgierskie zamierzają przedłożyć Cesarzowi. Dokument ten zajmującym jest z tego głównie względu, że obstrukcyoniści węgierscy powiadają w nim otwarcie, czego właściwie żądają. Zostawiając na razie na uboczu kwestyę, czy te postulaty opozycyi węgierskiej, które, nawiasem mówiąc, wcale nie odznaczają się skromnością, mogą przyczynić się w czemkolwiek do rozwikłania obecnego chaosu, panującego na Węgrzech, przytaczamy tu w całości ten adres. Opiewa on jak następuje:

„Najjaśniejszy Panie! Ciężkie czasy spadły na naród węgierski: prawidłowy bieg prac ustawodawczych jest powstrzymany, rząd nie ma parlamentarnie uchwalonego budżetu. Zaufanie do konstytucyi jest skutkiem tego zachwiane, cały kraj cierpi na tem, a spokój jego ludności został zakłócony. W tem położeniu zwracamy się do Waszej Królewskiej Mości i przedstawiamy niniejszem całkiem wiernie przyczyny tej sytuacyi.

Rok 1867 oznacza punkt zwrotny w systemie panowania Waszej Królewskiej Mości. Skutkiem utraty prowincyi włoskich, zmienione zostało stanowisko państwa w świecie, kraje znajdujące się pod berłem Waszej Królewskiej Mości otrzymały nową konstytucyę, a ludom ich zagwarantowano konstytucyjną swobodę. W ten sposób Wasza Królewska Mość wszedłeś na drogę legalności, złożyłeś przysięgę na konstytucyę, a naród powitał ten dzień z radością. Przywracając naszą konstytucyę, Wasza Królewska Mość zerwała z centralistyczną ideą państwową.

Z drugiej strony naród węgierski w artykule XII ustawy z roku 1867 przyrzekł jako konsekwencyę zobowiązania do wzajemnej obrony prowadzić wspólnie część spraw zagranicznych i wojskowych i przyrzekł osobną ustawą uregulować sprawy wspólne. Naród węgierski wypełnił wiernie przyjęte na się obowiązki, chociaż nałożyły one nań bardzo wielkie ciężary finansowe, które i dziś jeszcze dźwigać musimy. Między innemi przyjął naród węgierski na siebie ciężar, który wyłącznie Austryi wychodzi na korzyść, ciężar przyczyniania się corocznie kwotą 60 milionów koron do opłacania procentów od długu państwowego. Wszelako naród uczynił wszystko, ażeby tylko podnieść świetność królestwa węgierskiego i blask tronu. Boleśnie jednak odczuwa naród węgierski to, że rządy Waszej Królewskiej Mości wykonały tylko te przepisy ustawy, które nakładają na naród ciężary, natomiast zaniechały wykonać owych postanowień, z których wypływają dla narodu prawa. Rządy nie odpłaciły równą miarą ofiarności narodu. W szczególności nie przeprowadziły one w zupełności zasady dualizmu i równorzędności obu państw, które stanowią fundamentalną myśl przewodnią ustawy z roku 1867. Równorzędność ta nie jest przeprowadzona ani w dziedzinie spraw zagranicznych, ani też częściowo w dziedzinie spraw wojskowych.

Bardzo boli naród to, że Wasza Królewska Mość przebywa zdala od kraju węgierskiego, podczas gdy opierając się na artykule VII ustawy z r. 1867. żywił naród nadzieję, że Wasza Królewska Mość, jeżeli już nie stale, to w każdym razie przez dłuższy czas przebywać będzie na Węgrzech. Członkowie domu panującego obcy są narodowi węgierskiemu, a wszystkie urzędy wspólne, tudzież ambasadorowie i posłowie obcych mocarstw rezydują po za granicami Węgier, w Wiedniu.

Najbardziej jednak czuje się naród węgierski dotknięty tem, że owa część ustawy, która odnosi się do armii, nie jest wykonana. Nie węgierski, ale niemiecki język jest językiem armii, jej sztandary i emblematy nie są węgierskie, lecz austryackie, duch, który ją ożywia, nie jest węgieski, lecz obcy. Prawo naczelnego dowództwa nad armią, powierzone Waszej Królewskiej Mości przez naród, prawo kierownictwa i wewnętrznej organizacyi, jest konstytucyjnem prawem monarszem i może być wykonywane tylko w sposób, ograniczony przez konstytucyę. W myśl konstytucyi zaś nie może być ani zamiarem ani prawem króla węgierskiego zlać wojska węgierskiego z obcą armią.

Wspomnieliśmy już o tem, że rządy nie wykonały tej części ustaw, która odnosi się do narodowych praw. Prowincye okupowane w myśl prawa węgierskiego należeć mają do Węgier, tymczasem do tej pory nie zostały inkorporowane. Także Dalmacya na podstawie tradycyi i na podstawie pozytywnych praw powinna być wcielona do Węgier.

Boleść naszą zwiększa to, że nie stworzono dokładnie ustawami określonego węgierskiego wojska i że z żelazną energią tłumi się w armii węgierskie poczucie narodowe. Żołnierzy naszych trzyma się zdala od wszystkich tych miejsc, w których życie narodowe bije silnem tętnem, żołnierze nasi nie biorą udziału w radości i żałobie narodu. Tymczasem idea narodowa nie jest żadnym wytworem fantazyi, tylko rzeczywistością. Przepisy artykułu XII ustawy z r. 1867 odnoszące się do węgierskiej części armii nie zostały wprowadzone w czyn, a dopóki to nie nastąpi, dopóty nie ma co liczyć na prawidłowe funkcyonowanie władzy prawodawczej. Dopóki rządy nie przeprowadzą tej części ugody, dopóty nie będzie spokoju. W poczuciu obowiązków, jakie ciężą na nas jako na prawodawcach, szukamy drogi wybrnięcia z tego zamięszania i zdaje nam się, że pierwszym krokiem prowadzącym do tego będzie, jeżeli sankcyonowane przez Króla ustawy zostaną faktycznie przeprowadzone. O to prosimy z homagialną wiernością, ale zarazem całkiem otwarcie oświadczamy, że dopóki narodowe gravamina nie zostaną spełnione, dopóty nie może wrócić spokój. Prosimy tedy, Wasza Królewska Mość raczy polecić swym rządom, aby wykonały ustawy".

Tak opiewa ów adres opozycyi węgierskiej. Układali go widocznie ludzie bardzo egzaltowani na punkcie patryotycznym, ale pod względem politycznym bardzo niewyrobieni. To też obok postulatów, które z węgierskiego stanowiska narodowego są zupełnie zrozumiałe, jak np. żądanie, aby król przez pewną część roku przebywał na Węgrzech i aby zacieśnione zostały węzły między członkami domu panującego a narodem węgierskim, są w tym adresie także żądania, które nietylko są absolutnie niemożliwe do spełnienia, ale ponadto przy bliższem obejrzeniu ich przedstawiają się jako wysoce niebezpieczne dla samych Węgrów. Do takich niepolitycznych postulatów należą np. postulaty wcielenia do Węgier prowincyj okupowanych, tudzież Dalmacyi. Co do Bośnii i Hercogowiny, szowiniści węgierscy zdają się zapominać o tem, iż wcielenie tych krajów czy to do Węgier czy do Austryi musiałoby monarchię naszą zawikłać w wojnę międzynarodową, gdyż mandat do zajęcia Bośnii i Hercogowiny otrzymały Austro-Węgry od mocarstw zebranych na kongresie berlińskim i tylko za zgodą tych mocarstw rozwiązane być może pytanie, do kogo one mają prawnie należeć. Pretensye zaś do Dalmacyi mogliby rościć sobie tylko Kroaci, a Węgrzy chyba z tego jedynie tytułu, że Kroacya jest z nimi w prawnopaństwowym związku. Przypuściwszy jednak nawet, że spełniłoby się to gorące życzenie szowinistów węgierskich i że i Bośnia i Hercogowina i Dalmacya wcielone zostałyby do korony węgierskiej, cóżby z tego wynikło? Ludność Bośnii i Hercogowiny tudzież Dalmacyi jest serbsko-chorwacka, zatem przez złączenie wszystkich ziem serbsko-chorwackich w jedną całość, agitacya wielkochorwacka znalazłaby nowy pokarm i kto wie, czy nie wyrosłaby ponad głowę Węgrom.

Upieranie się przy separatystycznych postulatach w dziedzinie wojskowej świadczy również o wybujałym szowiniźmie i braku wszelkiego zmysłu politycznego. To przecie powinni zrozumieć opozycyoniści węgierscy, iż nie dlatego językiem armii jest język niemiecki, iż w jej zarządzie wieje duch antimadiarski, tylko dlatego, że język armii i jej komenda muszą być jednolite, jeżeli ta armia ma być naprawdę podwaliną potęgi monarchii. Mniejsza o to, jaki to język, byle był jeden, wielojęzyczność bowiem w armii doprowadziłaby wprost do absurdu. Trzebaby chyba utrzymywać osobnych tłumaczy do objaśniania żołnierzom rozkazów i komendy.

Dlatego też cały ten adres przedstawia się nie jako manifestacya poważna, lecz jedynie jako jeden ze środków agitacyjnych.

Sylwetki kardynałów.

Kardynał Satolli.

Kard. Satolli był profesorem w seminaryum w Perugii, w kollegium Propagandy, w seminaryum rzymskiem, potem rektorem kollegium grecko-rusińskiego, wreszcie w r. 1886 prezydentem Akademii duchownej szlacheckiej. Satolli pochodzący z Perugii t. j. z tych stron, w których Leon XIII był biskupem, zawdzięcza swoją karyerę szczególnej jego łaskawości; Ojciec św. nie nazywał go nigdy inaczej jak poprostu *Checchino*, co jest podwójnem zdrobnieniem imienia kardynała (Franciszek).

Kard. Satolli jest postacią ascetyczną; szczupły, kościsty, ma twarz o cerze opalonej, pergaminową, pełno zmarszczek, szerokie usta, nos cienki i długi, słowem podobny jest do tych figur, które wycinają w drzewie uderzeniami siekiery. Mówią o nim, że jest bardzo uczony i bardzo pobożny, Napisał w swoim czesie traktat o konkordatach, który, ma moc prawa i któremu polityka Combesa dodaje aktualności. Ale złote ostrogi, czyli kapelusz kardynalski, zdobył kardynał Satolli w Ameryce. Kiedy t. zw. tendencya amerykanizmu stała się niepokojącą i wstępowała w okres burzliwy, Leon XIII posłał msgra Satolliego do Waszyngtonu, w charakterze delegata apostolskiego.

Mylnie przypuszczają wszyscy, że delegat apostolski ma funkcye dyplomatyczne. Jest wprost przeciwnie: delegat utrzymuje tylko stosunki zwykłej grzeczności z rządem kraju, w którym rezyduje. Jest to cenzor, którego Papież posyła do danego kraju, gdzie dzieje się coś nieodpowiedniego, w celu nadzoru nad zachowaniem się biskuków i duchownych oraz przyprowadzenia do porządku opornych, jeżeli tego zachodzi potrzeba. Jego obowiązkiem jest zmuszenie księży i biskupów, aby nie wykraczali poza ramy, wskazane przez dogmat i dyscyplinę.

Satolli znalazł się wobec najpoważniejszych, nieprzezwyciężonych dla każdego innego delegata warunków. Duchowieństwo amerykańskie ożywione jest tym samym duchem walki, który stanowi siłę wszystkich mieszkańców nowego świata. W swoje pojęcia religijne, w swój sposób walki za wiarę wnosi kler tamtejszy tę samą wybuchową energię, ten sam zapał, który lud amerykański rozwija we wszystkich gałęziach swej działalności narodowej, we wszystkich przedsięwzięciach, na które zużytkowuje swoje siły i energię.

Episkopat i niższe duchowieństwo było podzielone na dwa obozy: z jednej strony kard. Gibbons, człowiek prawy i zdecydowany z msgrem Irelandem obok siebie, lub za sobą, człowiekiem wyjątkowym o temperamencie apostoła, inteligencyi wyższej i nowatorskiej, a około tych dwóch wodzów księża i biskupi, rozpłomienieni ideałem przekształcenia Kościoła rzymskiego, odmłodzenia go przez zaszczepienie mu ducha, ożywiającego demokracyę zamorską. Z drugiej strony msgr. Corrigan, arcybiskup New Yorku, który zgrupował naokoło siebie wszystkich biskupów konserwatywnych, przerażonych tendencyami równościowemi i socyalistycznemi Rycerzy Pracy, z którymi solidaryzowali się stronnicy kard. Gibbonsa i Irelanda. Walka była zażarta; widać było w oddali prawdopodobieństwo schizmy. Potrochu msgr. Satolli uporządkował to wszystko. Przyznawał wszystkim racyę, ale w sposób taki, że ostateczną racyę przeciwko wszystkim miał Papież w dniu, w którym ogłosił dokument — kamień grobowy, pod którym amerykanizm spoczywa snem wiecznym.

Powodzenie to zasługiwało na nagrodę, której Leon XIII nie poskąpił. W r. 1895 msgr. Satolli otrzymał kapelusz kardynalski oraz probostwo św. Jana Laterańskiego.

Opowiadają w Watykanie, że na kilka dni przed śmiercią Jego Świątobliwość poleciła zawołać kard. Satolii'ego i rozkazała, aby zamknięto wszystkie drzwi, skoro tylko wszedł. Co się tam odbyło? — wie o tem tylko sam kard. Satolli. Ale kiedy wyszedł z pokoju, w którym konał Papież, wszyscy zwrócili uwagę, że musiał bardzo płakać i że miał oczy jeszcze zalane łzami.

Dotychczas był on stronnikiem kard. Rampolii, który także znacznie przyczynił się do jego wyniesienia, a jego poparcie nie będzie bezużytecznem dla sekretarza stanu, ponieważ cieszy się bezsprzecznem poważaniem wśród szeregu prałatów. Ale kard. Satolli jest nieśmiały, mało uzewnętrzniający się, małomówny i zapytują tu, czy w usiłowaniach dla swego kandydata będzie równie zręczny, jak w Ameryce w walce z herezyą amerykanizmu, jak ją nazywano w Watykanie.

Korespondencye.

Londyn 28 lipca.

Opozycya w kraju przeciw hasłom handlowo-politycznym, rzuconym przez ministra kolonii Chamberlaina, poczyna zataczać bardzo szerokie kręgi. Korporacye przemysłowe i robotnicze ogłaszają wojownicze protesty przeciw podrożeniu artykułów żywności i materyałów surowych. Tak np. przedstawiciele angielskiego przemysłu bawełnianego oświadczyli kategorycznie, że oclenie surowców lub artykułów żywności niechybnie zrujnowałoby przemysł, tę główną dźwignię dobrobytu angielskiego. Rezolucya ta i jej podobne wywarły głębokie wrażenie we wszystkich kołach politycznych, to też Chamberlain w niedawnej swej mowie w parlamencie nie odważył się wymienić ceł na surowce jako jednego z punktów swego programu. Jest to fakt znamienny, bo porzucając myśl o nałożeniu ceł na materyały surowe, zrzeka się minister współdziałania Australii w całym planie protekcyi celnej.

Okres ankiet, dyskusyi teoretycznych, agitacyi i organizacyi w tej przełomowej kwestyi, czy Anglia porzucić ma dotychczasową politykę wolnego handlu, potrwa jeszcze przez resztę lata i całą jesień. Chamberlain zużyje ten czas na przejażdżki agitacyjne po kraju, aby darem swej wymowy i roztoczeniem szerokich widnokręgów politycznych spopularyzować w szerokich kołach ludności swoje zamysły. W styczniu prawdopodobnie rząd będzie musiał powziąć decyzyę. Gdyby przychylił się do polityki ceł protekcyjnych, kilku ministrów, stanowczych zwolenników systemu dotychczasowego, ustąpiłoby z gabinetu; czy Balfour pozostałby u steru, jeszcze niewiadomo; znaczenie tego ministra jednakże ogromnie zmalało, odkąd został zupełnie zawojowany przez Chamberlaina. Owóż zrekonstruowany w ten sposób rząd przedstawiłby parlamentowi swój program, poczem nastąpiłoby prawdopodobnie rozwiązanie Izby gmin i rozpisanie nowych wyborów, bo w teraźniejszym składzie nie znalazłaby się w Izbie dostateczna większość dla tego nowego kursu w polityce ekonomicznej. Wielu jednak sądzi, że gabinet, uwzględniając wzrastającą w kraju niechęć do awanturniczej polityki obecnego ministra kolonii, oświadczy się przeciw jego projektom.

Co właściwie skłoniło Chamberlaina do poruszenia kwestyi polityki handlowej angielskiej? Niewątpliwie grały tu rolę rozmaite względy osobiste, ale obok nich jednym z głównych motywów był t. zw. imperyalizm Chamberlaina, tj. dążenie do utworzenia ze zjednoczonych trzech królestw oraz z grup kolonialnych jednego silnie zespolonego organizmu, federacyi panbrytańskiej, którąby na zewnątrz występowała jako jedno mocarstwo. Owóż możnaby zapytać, dlaczego Chamberlain nie użył innego jakiegoś sposobu do pozyskania kolonii, dlaczego nie wytoczył względów politycznych, kulturalnych itp., a uciekł się do pewnego rodzaju przekupstwa ekonomicznego, chcąc zapewnić koloniom zyski materyalne za ich przystąpienie do idei imperyalistycznej. Różni zwolennicy tej idei, a w pierwszym ich rzędzie lord Rosebery proponowali inne środki, jak np. utworzenie rady imperyalnej, do której każda z grup kolonialnych przysyłałaby swych delegatów i którąby stwarzała ów gmach jednolity. Podtrzymywanie rozmaitych instytucyj, w których całe imperyum mogłoby brać udział, nasuwało się z kolei. Utrzymywanie wspólnym kosztem armii lądowej i marynarki, wprowadzenie swobodnej wymiany handlowej w granicach Wielkiej Brytanii, stawiane już były nieraz jako pierwsze ogniwa tego łańcucha.

Dlaczegóż więc minister kolonii kładzie nacisk tylko na kwestye ekonomiczne?

W mowie, jaką p. Chamberlain wygłosił na bankiecie w Klubie konstytucyjnym, odpowiedział on na te zarzuty. Przypominając konferencye z ministrami kolonialnymi, jaka się w Londynie odbyła z okazyi koronacyi, zmuszony był przyznać, że ci mężowie stanu nie okazali się zbyt pochopnymi do wytworzenia takich instytucyi, któreby ich samodzielność krępowały i że przyjęli z chłodną obojętnością propozycye uczestniczenia w wydatkach na imperyalną armię i marynarkę. Kolonie są przyjaźnie usposobione względem Wielkiej Brytanii, ale na tem koniec — do czynów im nie śpieszno. Zmuszony był przyznać, że ich patryotyzm powinien rozgorzeć, wzmódz się, ażeby praktyczne wyniki osiągnięte być mogły. Jest to pesymistyczne spostrzeżenie i źle wróży o utworzeniu owej federacyi brytańskiej, o której nasłuchaliśmy się tyle. Anglia pragnie jej, ale nie kwapią się do niej kolonie.

W obec takiego publicznego nastroju, p. Chamberlainowi nie pozostawało nic innego, jak pozyskać sobie dobrą notę kolonij przez udzielenie im korzyści handlowych. Skoro sentymenty nie są dość gorące, pozostaje sfera praktycznych interesów.

Nie może być mowy o związku handlowym brytańskim, opierającym się na swobodnej wzajemnej wymianie produktów, bo kolonie, znajdując się jeszcze w latach dziecięcych przemysłowej wytwórczości, potrzebują ceł ochronnych dla wzmocnienia swej produkcyi. Opasały się cłami i komorami przeciwko obcokrajowemu dowozowi i traktują artykuły przemysłowe, pochodzące z Anglii, tak samo, jak wszystkie inne. Jedna tylko Kanada przyznaje pewne ulgi towarom angielskim. Australia do tego stopnia ściga wytwórczość przemysłową angielską, że nie pozwala nawet wylądować w swych portach robotnikom specyalistom, przybywającym z Anglii.

Nie będąc w stanie przebić tego muru, p. Chamberlain zaproponował, ażeby Wielka Brytania zabezpieczyła uprzywilejowane stanowisko artykułom kolonialnym. Może to uczynić

---

20)

O „Dziadach" Mickiewicza.

Napisał **Szymon Matusiak.**

(Ciąg dalszy).

To podług nas carat cenzuro-czynowniczo-kozako-władny. O tej samej zgrai, co „gasi każdy promyczek oświaty," o tej samej hałastrze, co „jak przeklęta chmura leci"

I czy ledwie wschodzące, czy dojrzałe plony,
Jako szarańcza wybija —

o tych samych, podług naszego zdania, „królikach," „zaciemniających miasta, powiaty, o tych samych „cenzorach" mowa także na balu u *senatora* w *Dziadach* drezdeńskich (scena VIII Bal.)

Lewa strona (chórem):
Ach jaka świetność, przepych jaki!
Ah quelle beauté, quelle grâce!

Prawa strona.
Ach szelmy, łotry, ach łajdaki!
Żeby ich piorun trzasł.

Justyn Pol (do Bestużewa, pokazując na senatora).
Chcę mu scyzoryk mój w brzuch wsadzić,
Lub zamalować w pysk.

Bestużew.
Cóż stąd? Jednego łotra zgładzić
Lub obić: co za zysk?
Oni wyszukują przyczyny,
By uniwersytety znieść,
Krzyknąć, że uczniе jakobiny
I waszą młodzież zjeść.

Justyn Pol.
Lecz on zapłaci za męczarnie,
Za tyle krwi i łez.

Bestużew.
Cesarz ma u nas liczne psiarnie!
Cóż, że ten zdechnie pies?...

Pol.
Ach szelmy, łotry, ach zbrodniarze!

Do tak skleconych „Dziadów" napisał poeta jeszcze „Upiora", przedmowę, którąśmy już roztrząsnęli. Że „Upior" napisany był już dla tak obciętych „Dziadów" wynika stąd, że zastosowany jest do części IV., a to nie byłoby mogło nastąpić, gdyby był pisany dla całych „Dziadów"; przez całe „Dziady" Gustaw upiorem nie był. Mylą się tedy naszem zdaniem ci, co twierdzą, że „Upior" jest objaśnieniem, „kto się pojawi pod koniec II części „Dziadów" i usunięciem „zagadkowości, jaka tkwiła w luźnem zestawieniu II i IV części." „Upior" nie czyni ani tego, ani tamtego, owszem, tamto zaciemnia stosując się tylko do części IV, a tego wcale nie usuwa. Nic dziwnego, gdyż nie było to jego zadaniem.

II. Dziady drezdeńskie.

1. Drezdeńska (III) część „Dziadów" jest z kolei V częścią „Dziadów".

Treść. Jak poeta sam pojmował nazwę: „III część „Dziadów". Ścisła łączność poprzednich części z tą. Ten sam pomysł co do różnych permutacyi bohatera i te same rysy jego charakteru. Chór młodzieży z części I i więźniowie z tej. Polemika z tymi, co twierdzą, że ta część „Dziadów" była pierwotnie innym poematem.

Drezdeńską część „Dziadów" nazwał poeta trzecią. Dlaczego? Charakterystyczną rzeczą co do tych nazw jest wyrażenie Czeczotta, użyte w chwili, gdy miała wyjść II i IV część „Dziadów". „Tych części („Dziadów", które wyjdą) — powiada w liście do Malewskiego — mamy dwie". Skoro tych części mamy wtedy dwie, to następna będzie się nazywała oczywiście trzecią; gdy się poemat uzupełni, zmienią się liczby. Tak pojmował to i sam Mickiewicz, czego dowodem notatka jego z roku 1844: „Poemat „Dziady" stanowi jedną nieprzerwaną całość. Pierwsza część jego napisana jeszcze w Kownie, znajduje się w rękopisie autora: ale zapewne dopiero później na świat wyjdzie, a wtenczas i *porządek* całego poematu zmieniony będzie. Dziś zaś ogłaszamy go *tyle* i *takim porządkiem*, jak dotąd był znajomy czytelnikom".

Nie jest więc drezdeńska część „Dziadów" jakąś osobną seryą „Dziadów", ale razem z tamtemi tworzy „jedną nieprzerwaną całość", tylko liczby pozmieniać, skoro się będzie wszystkie części wydawało, a wtedy część drezdeńska będzie z kolei V. Kto części poprzednie zna, nic w tej V nie będzie dla niego ani obcem, ani niespodziewanem.

Ten sam pomysł co do różnych permutacyi bohatera: w tamtych z 1823 najpierw żywy człowiek (część I Gustaw na polowaniu), potem duch żywego człowieka (część II), w III części sam żywy człowiek, w IV fikcyjny upiór; w drezdeńskich zaś najpierw śmierć i narodzenie, potem żywy człowiek, a w końcu duch żywego człowieka („Noc dziadów").

Ostatnim wyrazem tamtych było to, że Gustaw na świecie znowu, ale nie dla świata; że zamarł w nim człowiek zajęty sobą i swojem nieszczęściem, a pozostał pokutnik, co będzie żył i pracował dla drugich w imię tego hasła, od którego oddalił się na chwilę przez swe nieszczęście: „Ojczyzna, nauka, cnota". Więc tylko Gustawa zmienić na Konrada i pisać dalej. I tak się też pierwotnie łączyła drezdeńska część „Dziadów" z poprzedniemi częściami. To, co jest obecnie „Prologiem", było sceną IX, nawet bez owego sławnego: „Obiit Gustavus, natus est Conradus. *)"

Nie zdziwi nikogo w V części Konrad jako wielki poeta, co „wyleci z planet i gwiazd kołowrotu" i „dojdzie tam, gdzie granicą Stórca i natura", skoro już z I wiemy o nim, że „zmierzył nieba i gwiazd loty"; nie zadziwi nas w V jako patryota i prorok, skoro wiadomo nam z I, że

żalem pragnął wydźwignąć,
Co znikło w przeszłości łonie,

że

żądzą pragnął doścignąć,
Co ma przyszłość w tajnem łonie.

Kto przez miłość Boga i Ojczyzny oparł się pokusie samobójstwa, a przez miłość cnoty miał odwagę do winy się przyznać, uznać ją za „zbrodnię" i napiętnować jako swój wstyd i hańbę, to nie dziw, że na pychę swoją znajdzie także lekarstwo: „Chleb i Wino". Ani Konrad nie jest nam obcym w V części, ani jego towarzysze pod żadnym prawie względem, nie jest także niespodzianką ich uwięzienie, skoro z III części znało się położenie kraju, a z I tej młodzieży aspiracye. Kiedy powstał plan czterech pierwszych części „Dziadów", piąta taka, jaka jest, nie była, rozumie się, przewidziana, ale gdy ją miał poeta napisać, zrastała się z tamtemi organicznie, sama przez się. Więc bez żadnej przesady pisał poeta, kiedy 1844 r. wydawał drezdeńską część „Dziadów" razem z dawniejszemi, że „poemat „Dziady" stanowi jedną nieprzerwaną całość".

W ostatnich czasach pojawiło się zdanie *), że dzisiejsza III (V) część „Dziadów" stworzyła „według pierwotnego planu pierwszą część zupełnie odrębnego od „Dziadów" poematu, że „bohaterem jej był Konrad, nie mający nic wspólnego z Gustawem" i że „dopiero, kiedy już najważniejszych ośm scen było gotowych i na czysto przepisanych, zdecydował się Mickiewicz na włączenie nowego swego poematu do „Dziadów". Podług tego samego zdania, scena IX (później przerobiona na „Prolog" i X („Noc dziadów") nie były pierwotnie w planie poety i powstały dopiero wtedy, gdy poeta zdecydował się ten nowy swój poemat uczynić III częścią „Dziadów".

Jak z gruntu mylne to zdanie, dość przypomnieć, że prof. Kallenbach wydał szczątki pierwszego autografu tej części „Dziadów" (Pamiętnik Tow. lit. im. A. Mickiewicza. Rocznik V. str. 164—197); że tam swoją własną ręką napisał poeta na stronie 1: „Dziadów" część III" i że ten autograf kończy się sceną, zawierającą „Noc dziadów". Skoro sam pierwszy rzut tej części „Dziadów" na papier dowodzi niezbicie, że to „Dziady", to jakże można twierdzić, że pierwotnie miał to być inny poemat?

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Pamiętnik Tow. lit. im. A. Mickiewicza. Rocznik VI str. 241—257.

*) Pamiętnik Tow. lit. im A Mickiewicza Rocznik VI. 1898. str. 241—257.

jedynie zrzekając się wolnego handlu, a podciągając pod cła wchodowe dowóz zagraniczny.

Szkoda tylko, że kolonie nie dowożą na rynki angielskie nic innego, jak artykuły spożywcze i surowe: zboże, mąkę, mięso mrożone, sadło, skóry, wełnę etc. Produkcya ich podwyższy się prawdopodobnie w tych specyalnościach, ale w Wielkiej Brytanii powstanie drożyzna. P. Chamberlain przewiduje takie następstwo, ale uważa, że bądź co bądź, Anglia zyska na tym przewrocie handlowym. Wojnę celną z resztą świata poczytuje on za rzecz podrzędną, bo w zamian za to pozyska sobie wiernych sprzymierzeńców w koloniach.

Ale rachuby te p. Chamberlaina — nawet w razie, gdy rząd i parlament pójdą za jego myślą — zdają się być bardzo zawodnemi. Kolonie zamknięte szczelnie dla dowozu wyrobów przemysłu angielskiego, będą wywoziły do Anglii w coraz większych ilościach swe produkty surowe. Wzrosną w dostatki, to niewątpliwie, ale wzrośnie wśród nich jednocześnie poczucie samodzielności i niezależności. Już obecnie nie okazują one zbyt wielkiej skwapliwości do ponoszenia ofiar na rzecz państwa. Obojętność ta powiększy się jeszcze w nowych warunkach.

A nowe te warunki niewątpliwie nastąpią. Już obecnie ocean Spokojny zaczyna brać górę nad Atlantykiem. Przekopanie przesmyku Panamskiego tendencyę tę jeszcze spotęguje. Ku Stanom Zjednoczonym ciążyć będą i Kanada i Australia i Nowa Zelandya. Nie potrafi tej nieuniknionej ewolucyi odwrócić fortel p. Chamberlaina. Pomimo ciężarów fiskalnych i ekonomicznych klęsk, jakie ten ryzykowny krok zwaliłby na europejską część Pan-Brytanii, cel — utworzenie federacyi państwowej — zostałby według wszelkiego prawdopodobieństwa, tak samo dalekim, albo dalszym, aniżeli nim był dotychczas.

Niedawno zmarł w Chelsea pod Londynem sławny malarz Whistler, jeden z tych artystów, których działalność nietylko jemu samemu zapewniła ogromny rozgłos, ale także pobudziła mnóstwo malarzy mniejszego talentu do naśladowania i rozwijania jego metody.

Urodzony w Stanach Zjednoczonych w 1835 roku, zrazu poświęcić się miał karyerze wojskowej i kształcił się w szkole w West-Point. Wkrótce rzucił jednak szkołę i w roku 1860-ym widzimy go już w Paryżu, w pracowni Gleyre'a.

Potem zaczyna wystawiać swe obrazy i sława spływa nań niebawem.

Obrazy Whistlera — to rzec można niesłychanie intensywne notatki i wrażenia ulotne, zwłaszcza obrazy z lat ostatnich, w których nie ustrzegł się tego nieszczęścia największych nawet twórców, że zaczął sam siebie manierować. Obrazy te były wprost przykre: brudne, szare tony, rzucone z jakąś burzliwą, żywiołową siłą, ale całe zda się skąpane w nurtach mgieł i błota Anglii — ponure, mroczne, ciemne.

Dawniejszymi czasy zasłynął Whistler przez swe portrety, do najlepszych zaś z nich zaliczyć należy portret Carlyle'a i matki malarza. Ten ostatni jest przedziwny: profilem do widza siedzi starowina, taka prosta, taka znana każdemu z nas, taka swoja dla każdego, a taka jakaś dobra i kochana. Whistler malował ten portret, jak wszystkie inne zresztą, w oliwkowo-brunatnym tonie. Zacierając szczegóły, daje niejako szemat człowieka, wydobywa przedewszystkiem charakter ogólny twarzy i duszy portretowanego, a pławi wszystko w półmroku.

Ale ostatnimi czasy, zwłaszcza w krajobrazach, przesadził już Whistler ową ponurość, którą sobie tak upodobał. Niektóre jego szkice po Holbeinowsku rysowane, czasami aż karykaturalne, nosiły nazwy „szare i złote“, „niebieskie i srebrne“, „żółte i szare“, „srebrne i purpurowe“, a wszystkie te tony są brudne, żółtawe i dalekie od „złota i srebra“ tytułów. Mimo tego wszystkiego wielką jest siła w krajobrazach Whistlera, z których najwybitniejsze są jego akwafortowe szkice, pełne poezyi i doskonałych tonów.

Whistler wywarł na malarstwo europejskie wpływ ogromny i jak Turner, Burne Jones, Crane, Morris, Rossetti i Ruskin działał przeciw zbyt subtelnemu realizmowi, wprowadzając do malarstwa jakiś niepewny, mglisty, bardzo nastrojowy sentyment, to coś wpółpewnego, majaczącego, co się dzisiaj tak silnie odczuwa u tylu świetnych artystów francuskich.

Zmarł Whistler syt sławy, a dzieła jego bardzo wielkie znajdują się po wszystkich wielkich muzeach europejskich.

Szalenie złośliwy, mizantrop nieco, otaczał się pewną tajemniczością w życiu, a gdy krytycy dawniej bardzo ostro się z nim obeszli, odpowiedział niesłychanie zjadliwą książką pt. „The gentle art of making ennemies“. (Miła sztuka robienia sobie nieprzyjaciół.) A miał ich dużo; raz dlatego, że posiadał talent, powtóre dla tego, że sobie z ludzi bardzo mało co robił.

Z Manchesteru donoszą, że niedawno znaleziono tam nieznany obraz Van Dycka. Przedstawia on Abrahama w chwili, gdy chce w myśl swej obietnicy ofiarować Bogu Izaaka. Podniósł już miecz, celem wykonania ciosu, ale anieli ukazują się w chmurach z wiadomością, że Bóg ześle jagnię, a Izaaka uratuje. Na twarzy Abrahama ma być w przedziwny sposób oddana mieszanina uczuć pokory, zdziwienia i wdzięczności. Koloryt i wszelkie szczegóły mają również być świetne. Obraz ten przed laty znajdował się w domu jakiegoś włościanina w Cheshire, a od niego nabył go przed 12 laty dzisiejszy właściciel. Dopiero teraz obraz oczyszczono i przytem wykryto jego pochodzenie. Amatorowie podobno już zaofiarowali za niego 10.000 funtów (250.000 K.).

Czasopisma fachowe Anglii i Ameryki zajmowały się niedawno kwestyą, jakie przestrzenie może przejechać lokomotywa z pociągiem nie zatrzymując się, a to z uwzględnieniem warunków danej okolicy. Otóż „English Mechanic“ donosi, iż świeżo urządzono w tej mierze próbę z „Nordwest-Express“ na przestrzeni Edynburg-Custon. Przestrzeń tę przebiegł pociąg z jednem tylko zatrzymaniem w Carlisle. Wyruszył on z Edynburga o godzinie 1 minut 55, a miał do przebieżenia 400 mil angielskich (około 650 kilometrów). Tę przestrzeń rozdzielono na dwie części: jedną od Edynburga do Carlisle (100 mil ang. — 163 kilom.), a drugą do Custon (300 mil ang. — 490 kilom.). Pociąg przebiegł pierwszy dystans w ciągu 116 min. i wyszedłszy z Carlisle o godz. 3 min. 59 z dwiema lokomotywami przybył o godz. 9 min. 59 do Custon. Ogółem był w drodze niecałe 8 godzin. W próbie tej zasługuje na uwagę tylko długotrwałość biegu, szybkość bowiem (nie wyższa średnio nad 80 kilometrów na godzinę) osiągana bywa przez wiele pociągów pośpiesznych w Europie środkowej. To też w nowym rekordzie chodziło o wypróbowanie, jak długo może być pociąg w biegu bez zatrzymywania się. Okazało się, że może on przebiedz 490 kilometrów bez żadnego przystanku, a 650 kilom. tylko z jedną stacyą.

Nasze stronnictwa skrajne.

III.

Dalsze losy stronnictwa narodowo-demokratycznego i jego działalność na arenie galicyjskiej, są powszechnie znane. Do krytyki jej przystępuje Scriptor w jednym z następnych rozdziałów swego dzieła, tymczasem zaś powraca jeszcze do Ligi narodowej i rozpatruje, jaką rękojmię powodzenia daje społeczeństwu polskiemu ta „najwyższa magistratura narodowa“, w cienie tajemniczości spowita. Tajemnicą otacza się Liga i dla bezpieczeństwa i dla powagi, ale sposób ten odstręcza wielu ostrożnych, nie chcących ulegać bezimiennym dowódzcom, i uprawnia do sceptycznych przypuszczeń, że ci dowódzcy są może tylko garstką młokosów, igrających lekkomyślnie z ogniem instynktów. Z takich czy z innych pobudek, samozwańczy rząd narodowy uczuł potrzebę posiadania jawnego przedstawiciela, akredytowanego przy społeczeństwie i zamianował nim „pułkownika“ Zygmunta Miłkowskiego, który oficyalnie występuje w jej imieniu. Urząd jego ma być żywem odparciem zarzutów, jakie spotykają Ligę za bezimienność jej roboty, ma stanowić świadectwo i próbkę, że robotami temi nie kierują dzieci, lecz ludzie stateczni, dojrzali i wytrawni.

Jakąż gwarancyę potemu daje osoba Miłkowskiego? Jako człowiek prywatny, postać to nienaganna, jako powieściopisarz, miał swoje chwile świetne i wzbogacił literaturę ojczystą wielu pięknemi dziełami. Ale jakże się przedstawia jego wytrawność jako działacza politycznego? Z wytrawności tej można pośrednio wnosić o wytrawności Ligi — bo wszakże rząd każdy odwołuje ambasadora z chwilą, gdy on źle myśli jego tłómaczy, a Miłkowski funkcyonuje wciąż i świeżo np. wystąpił z ostrem upomnieniem posła Bojki.

Jako oficer w kampanii węgierskiej w r. 1849 wyszedł Miłkowski na emigracyę, gdzie po czternastu latach zaskoczył go wybuch powstania styczniowego. Zamianowany przez Rząd narodowy pułkownikiem, otrzymał misyę wywołania powstania w ziemiach ruskich i w r. 1863 zdążał tam z oddziałem ochotniczym. Nie dotarłszy do granic Polski, stoczył z Rumunami jedną potyczkę pod Kostangalią, poczem rozbrójony przez władze rumuńskie, wrócił z drogi i odtąd bez przerwy mieszka na obczyźnie, jako patryarcha emigracyi, wśród której zachowuje swój tytuł pułkownikowski. Wysoce to charakterystyczny fakt, że wybór Ligi, poszukującej jawnego przedstawiciela, padł na człowieka, który trzy czwarte swego życia spędził wśród obcych i przez ten olbrzymi przeciąg czasu, w którym przekształciły się do gruntu w Polsce, pojęcia warunki rozwoju, środki działania — nie miał ani razu sposobności poznać tych zmian drogą osobistego doświadczenia. Czy może brak ten zdołał Miłkowski zastąpić jakąś wyjątkową bystrością umysłu? czy mimo odcięcia od ojczyzny zdołał sobie wyrobić sąd trafny o jej stosunkach?

Na to odpowiedź znajdujemy w pismach i czynach Miłkowskiego. Poznaliśmy już jego broszurkę „o skarbie narodowym i o obronie czynnej“, w której uczy, że naród polski może odrzucić wszelką rozwagę w działaniu, jak instrument zużyty, ponieważ „nie ma już nic do stracenia“; że im bardziej gwałtami będziemy znaczyć nasz stosunek do państw rozbiorowych, tem więcej ulg spodziewać się możemy, że w Austryi zwolnienie ucisku jest dla nas równie szkodliwe jak sam ucisk. Ideę obrony czynnej porzucił jednak pułkownik dość prędko — być może, iż sami twórcy Ligi wyperswadowali mu, że „kijami“ nie można dziś Polski wskrzesić. Natomiast idea Skarbu narodowego — pisze Scriptor — stała się jego *idée fixe.* Rok temu przed zjazdem komisyi nadzorczej Skarbu występuje Miłkowski w pisemku emigracyjnem *Gońcu Polskim* z szeregiem uwag na temat swej ulubionej instytucyi, tego „światełka“, które ma tlić w Rapperswylu na wypadek, gdyby cały naród zgubił drogę, poczem wyobraźnia unosi go w mroczną otchłań dalekiej przyszłości i w próżnię tę rzuca pytanie: kiedy będzie Polska? Za sto lat? Za dwieście? On sądzi, że może za trzysta lat dopiero. „Wszakże niewola Grecyi — pisze — trwała wieków dwadzieścia, Bułgaryi pięć bez mała, Serbii cztery blisko. Gdyby nas coś podobnego spotkało, Skarb narodowy ulokowany na procenty składane w banku angielskim wzrastałby powoli, wzrósłby do wysokości miliardowej i oddałby sprawie polskiej usługi nie małe w razie, gdyby w XXII, może w XXIII wieku za poduszczeniem jakiegoś Bajrona, coby się do „ojczyzny mężów nieśmiertelnej chwały“ zapalił, zawiązała się na jej gruncie organizacya, walkę o niepodległość Polski wznawiająca“.

Że przez ten czas siły państw rozbiorowych urość muszą w takim stosunku, że miliard będzie tak samo bezsilnym jak dziś 200.000 franków, tego pułkownik nie uwzględnił.

Aby skarb powiększyć, stróże jego widząc, iż na rdzenne dzielnice polskie liczyć nie mogą, zwrócili oczy na wychodźtwo polskie w Ameryce. Wiadomości o spadkach, dziedziczonych po wujaszkach amerykańskich, nie przebrzmiały bez echa. Myślano również, że wśród półtora milionowej ludności polskiej w Ameryce północnej, ludności trapionej tęsknotą za krajem i mało znającej współczesne warunki bytu ziemi rodzinnej, łatwiej będzie obudzić żywiołowy, nie rozumujący poryw patryotyzmu. I oto misyę apostolstwa na rzecz Skarbu Narodowego powierzono sędziwemu Miłkowskiemu, licząc na jego popularność nietylko jako pisarza, lecz jako byłego dowódcy oddziału powstańczego. We wrześniu r. 1900 wylądował on na ziemi amerykańskiej i kolejno odwiedził główne ogniska życia polskiego jak: New-York, Scranton, Bouffalo i Chicago. Na wiecach, które z okazyi jego przybycia urządzono, stały i niezmienny leitmotyw przemówień delegata brzmiał: Opodatkujcie się na Skarb Narodowy! Zdawało się, że Ameryka rzeczywiście „opodatkuje się“. Wiele rzeczy wskazywało na to, a przedewszystkiem gorące przyjęcie, z jakiem pułkownik spotkał się w pewnej części wychodźtwa. Podróż zamieniła się w pochód tryumfalny. Oto jak pułkownik sam opisuje w *Gońcu polskim* przyjęcie, które mu zgotowała ludność polska miasteczka Porth Amboy:

„Wśród tłumów ludzi, pod eskortą wojskową, z artyleryą na przodzie, posuwaliśmy się powoli ulicami w których polskie a nawet i amerykańskie domy jaśniały illuminacyą. Od czasu do czasu rozbłyskiwały ognie bengalskie i rakiety szypiąc wznosiły się w powietrze. Parę razy huknęły wystrzały działowe“. Naturalnie „artylerya“ i „ognie działowe“ były — amatorskie. Przed pułkownikiem wystąpiło w pełnej paradzie t. zw. wojsko polskie, a chociaż wojsko to jest tylko bawieniem się w armię, chociaż ma się tak do wojska prawdziwego jak „strzelec niedzielny“ do zawodowego myśliwca to znaczy, jest jego karykaturą, delegat Ligi Narodowej wziął je na seryo, zwłaszcza, gdy pewnego dnia, po wokalnych i muzycznych popisach nastąpiły umyślnie na jego cześć „popisy artylerzyckie“. Dał temu natychmiast wyraz:

„Z popisów tych — pisze — wziąłem asumpt do poruszenia w mowie mojej sprawy organizacyi wojskowych na wychodźtwie. Uznawałem organizacyi tych potrzebę, z tem atoli zastrzeżeniem, ażeby one praktyczny miały cel — cel, mający na widoku bojową w razie danym przydatność“.

I wtedy to zapewne delegat Ligi z dziecinną żywością umysłu słyszał szczęk broni powstańczej i zastanawiał się nad tem, czemu później dał wyraz w *Gońcu Polskim*: Kto będzie pierwszy zaczynał — Polacy w Europie, czy Polacy w Ameryce? Lecz przedewszystkiem wołał: Opodatkujcie się na skarb narodowy! a skutków tego wołania niecierpliwie czekały za oceanem: Związek emigrantów i Liga narodowa. Jakiż był ów skutek? Czy stanął na wysokości popisów artylerzyckich, wystrzałów działowych, illuminacyi, rakiet i ogni bengalskich? Odpowiedzi dostarcza nam *Nowa Reforma,* która po powrocie pułkownika do Europy stwierdziła skromnie, iż „wogóle ze skarbem powiodło się Jeżowi tylko nienajgorzej“. Miłkowski zaś sam później napisał, iż przekonał się, że „i w Stanach Zjednoczonych skarb narodowy przeciwników zawziętych miał i ma“. Tak więc: efektownie i hucznie pod względem dekoracyjnym, skromnie, bo „nienajgorzej“ tylko pod względem zbliżenia skarbu do wymarzonego miliarda — skończyła się ta wyprawa po złote runo. Frazesy wywołały tylko frazesy i oto np. w roku następnym Związek narodowy polski, który przed laty 25 został założony jako stowarzyszenie emerytalno-asekuracyjne i zaznaczył się zwalczaniem duchowieństwa, uchwalił na „Sejmie“ w Toledo rezolucyę, uznającą Ligę jako prawną władzę państwa polskiego i spadkobierczynię wszystkich praw, piastowanych przez poprzednie rządy tego państwa od królów i sejmów polskich, aż do rządu narodowego 1863 r.

Sam pułkownik dopiero po powrocie do domu, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zdał sobie sprawę z historycznej doniosłości roli, jaką odegrał. Wprawdzie już w Ameryce miał on niejasne poczucie, że rola ta jest bardzo doniosła i dla tego należy mu utrzymać się na pewnej, monarchom i dyplomatom właściwej wyżynie, więc kiedy go pragnęli ugościć u siebie niektórzy księża katoliccy w miastach, w których toczą się walki religijne — nie przyjmował zaproszeń, ażeby jak powiada w *Gońcu polskim* „jednemu z Kościołów (!) preferencyi nie okazywać“. Mimo to dopiero w Europie pojął w zupełności znaczenie swojej wyprawy. Pierwszem pytaniem, jakie sobie postawił, było: co na to wszystko mówią rządy zaborcze? Bo oczywiście obojętnie wobec dokonanego faktu zachować się nie mogły. I oto na palące to pytanie odpowiedź wypełznęła z gabinetów dyplomacyi europejskiej w półtora roku po wyprawie Miłkowskiego. Cesarz niemiecki, Wilhelm II, wysyła brata swojego Henryka do Ameryki północnej — a Miłkowski twierdzi, że cesarz kopiuje Ligę narodową i że Henryk pruski jedzie do Niemców amerykańskich po to, ażeby „zneutralizować zabiegi wroga“. „Przypuścić nie sposób — pisze Miłkowski — ażeby cesarz Wilhelm o podróży mojej i jej celach nie wiedział, ażeby go tajni ajenci o niej nie zawiadomili. Czy zawiadomienia podobne nie nasuwały mu do głowy myśli, że Polacy, mając takich jak Kościuszko i Pułaski orędowników, mogą Yankesów dla siebie pozyskać i w chwili, kiedy on ich potrzebować będzie, na poprzek mu stanąć?“

Cała ta historya o rzekomym plagiacie dyplomatycznym, którego się dopuścił cesarz niemiecki na Lidze narodowej, opowiadana jest z tak dobrą wiarą i z tak szczerem przekonaniem, że czytelnika rozbraja i nie pozwala gniewać się na autora za to, że każe podobne dziwactwo brać za dobrą monetę. Miłkowski — to poeta najczystszej wody, powieściopisarz, fantasta, w którym wyobraźnia panuje nad logiką. Dowiodła tego słynna jego wyprawa rumuńska z przed 40 laty. Z 400 ledwie ochotnikami pułkownik postanowił przejść z bronią w ręku całą Rumunię, od granicy tureckiej do rosyjskiej, jakby obszar ten był pustynią. Co powie na ten przemarsz rząd rumuński? Czy nie mając żadnego interesu w popieraniu polskiego powstania, zechce się narazić na skutki złamania neutralności — tego Miłkowski wcale nie brał w rachubę. I nie mogła też ta szczególna wyprawa mieć innego epilogu, niż miała: gdy nad Wisłą wrzał bój o oderwanie Królestwa od Rosyi, Miłkowski bił się z obojętnymi dla sprawy polskiej Rumunami i został rozbrojony.

Taki sposób dążenia do odbudowania Polski nie jest już bardzo daleki od innego, o którym Miłkowski szeroko opowiada w *Gońcu Polskim,* zdając sprawę ze swej podróży do Ameryki. Jest to plan — ni mniej ni więcej — tylko wyczerpania mórz, przylegających do państw rozbiorowych, przelania ich do oceanów, zamienienia dna morskiego na urodzajną ziemię i ofiarowania państwom rozbiorowym jako ekwiwalent za zwrócenie Ojczyzny. Projekt ten, w równej mierze fantastyczny, jak wzruszający, zrodził się w głowie jakiegoś starego emigranta polskiego i dosłownie wedle zapisków Miłkowskiego brzmiał następująco:

„Słusznem jest, ażeby nauka wynagrodziła Polsce krzywdy od losów doznane... Mechanika da nam sposoby wyczerpania nadających się na ten cel mórz i przelania ich do głównych zbiorowisk wodnych; chemia dna morskie zmieni w pola urodzajne, a wątpliwości nie ulega, że znajdą się w nich bogactwa, które zaborcom stokrotnie ekonomicznie określoną wartość Polski opłacą, uwalniając ich zarazem od narodu im nieprzyjaznego...“

Delegat Ligi narodowej, przed którym się stary emigrant zwierzył z wynalezienia tej drogi do niepodległości, drogi „pewniejszej niż wojenna lub dyplomatyczna“, zwrócił uwagę „na ogrom przedsięwzięcia“, ale wnet otrzymał uspakajającą odpowiedź: „Prawda... Przedsięwzięcie jest ogromne, lecz nie niemożliwe ze względu na to, że w tym samym rodzaju rzeczy coraz to większe przedsiębiorą się i do skutku dochodzą. Nie rozmiary przeto przedsiębiorstwa na przeszkodzie stoją, ale koszta wykonania. Kwestya zmniejszenia tych kosztów jest właśnie celem moich rozmyślań i prac. O gdyby się to powiodło!“

Te szczegóły wystarczają. Winę Miłkowskiego — pisze Scriptor — łagodzi długa nieobecność w kraju i jego wiek sędziwy. Nie mamy też wcale zamiaru oskarżać go, oskarżenie należy skierować jedynie i wyłącznie pod adresem „Rządu Narodowego“, który nazwisko i osobę znanego i cenionego pisarza wyzyskał dla swoich celów, korzystając z jego nieodpornej dobroduszności.

Kompromitujące wystąpienia drugiego agenta wszechpolskiego za granicą, d-ra Lewakowskiego, są znane. Znanym jest jego niefortunny pobyt na kongresie pokojowym w Hadze, gdzie nie mogąc się wprosić do oficyalnego udziału w obradach kongresu, skorzystał z publicznej konferencyi młodo-tureckiej, aby wypowiedzieć mowę, z którą przyjechał. Pamiętamy też jego objażdżki po Ameryce, podczas których urządzał popisy oratorskie, występując w imieniu całej Polski tak arogancko, że raz spotkała go konfuzya ze strony pewnego dowcipnisia, który mu za jego mowę podziękował... w imieniu Portugalii.

Przekupstwa na Węgrzech.

(Telegramy Przeglądu).

Budapeszt 4 sierpnia. Wczoraj o godzinie ½12 w południe zebrała się komisya śledcza parlamentu. Przewodniczący zawiadomił, że według urzędowej relacyi, nadeszłej na jego ręce, budapeszteńska dyrekcya policyi zwróciła się dnia 31 lipca telegraficznie do policyi berlińskiej, oraz zarządziła poszukiwanie Dienesa na całym kontynencie. Telefonicznie nie można było porozumiewać się z Berlinem skutkiem przerwania linii telefonicznej. Berlińska policya nadesłała wiadomość, że pakunki Dienesa zatrzymano, śladów jednak Dienesa samego nie ma.

Poseł Olay zażądał następnie zawezwania szeregu świadków i oświadczył, że po konferencyi z przyjacielem swym Eötvösem postanowił wszystko powiedzieć, co wie.

Rozpoczęło się przesłuchanie Artura Singera. Oświadczył on, że hr. Szapary wszystko zeznał, co było potrzeba, on więc (Singer) nie czuje się powołanym uzupełniać tych zeznań i zapewnia tylko, że Szapary postępował na własną rękę, a hr. Khuen o całem zajściu zupełnie nie miał wyobrażenia.

W szczególności zaprzeczył Singer, jakoby pomagał Dienesowi w przekupstwach i jakoby pośrednio lub bezpośrednio porozumiewał się z prezydentem ministrów, hr. Khuen-Hedervarym. Całej akcyi podjął się hr. Szapary, a zaczął ją od posła Pappa, na którym też skończył. Hr. Szapary kilkakrotnie wobec świadków, których jednakże Singer wymienić nie chce, wyraził się, że poświęci cały swój majątek celem uśmierzenia obstrukcyi.

Na popołudniowem posiedzeniu stwierdził przewodniczący, że węgierska Kasa oszczędności odmówiła żądaniu, ażeby przysłała sprawozdanie o depozytach hr. Szaparego. Komisya postanowiła odnieść się w tej kwestyi do Szaparego, aby sam dostarczył dotyczących wykazów.

Mikolaj br. Banffy oświadcza, że Szapary przyznał się wobec niego, iż jest inicyatorem przekupstwa. Co się tyczy rządu, to świadek może zapewnić, że rząd wogóle w kwestyę tę nie jest wmięszany. Przed odjazdem Dienesa Banffy na prośbę Szaparego konferował z nim, lecz gabinet w to zupełnie nie był wmięszany ani nie ułatwiał mu ucieczki. Na dalsze pytania odmówił Banffy odpowiedzi.

Radzca ministeryalny Daranyi, brat ministra rolnictwa, zaprzeczył kategorycznie przypisywanym mu słowom, że obstrukcyę można przekupić. Hr. Teleky, szwagier Khuena, oświadczył, że Dienesa nie znał i nigdy z nim nie rozmawiał.

Poseł Szapary, brat Władysława, byłego gubernatora Rjeki, odczytał pisemne oświadczenie brata, w którem on powiada, że wskutek ostatnich wypadków jest tak rozstrojony, iż nie może zjawić się przed komisyą, gdyż zaszkodziłoby to jego zdrowiu. W piśmie tem wspomniano także o tem, że Dienes robił rozmaite zarzuty Pappowi i Nessiemu, między innemi obwiniał Pappa, że zdefraudował 500 zł., dane na pomnik Kossutha.

Papp i Nessi zgłosili się do zeznawania i oświadczyli, że to jest fałsz.

Wesołość wywołały zeznania Macieja Picka. Zgłosił się on sam jako świadek i przedstawił osobiste swe przekonanie, iż niemożliwe jest, żeby Szapary mógł tak wielką sumę łożyć z własnej kieszeni na przekupstwa, gdyż nie zapłacił nawet długu krawieckiego i innych mniejszych długów.

Prezydent ministrów hr. Khuen-Hedervary oświadczył, że Szapary opowiadał często o rozmaitych projektach swych, ale zawsze zupełnie ogólnikowo, gdyż mówca nie chciał słuchać szczegółów. Jednakże hr. Khuen wie, że hr. Szapary miał często fantastyczne projekty w sprawach politycznych. O popełnionem przekupstwie dowiedział się mówca dopiero z gazet. Szapary opowiadał także, że zajmie się rozbrojeniem opozycyjnego socyalizmu. Hr. Khuen odpowiedział mu, żeby robił co chce, on sam nie może się w to wdawać. Dalej oświadczył hr. Khuen kategorycznie, że nie stykał się nigdy ani nie mówił z osobami, wmieszanemi do afery przekupstwa. Nie uciekał się nigdy podczas swej działalności do walki takimi środkami.

Przez 20 lat rządził w Chorwacyi przy pomocy uczciwych środków. Czyż mógłby więc na Węgrzech chcieć używać takich środków, jak przekupstwo. Gdy Szapary opowiadał mu o swych projektach, nie zgodził się na żaden z nich. Przez 20 lat rządził w Chorwacyi zawsze na podstawie ustaw, a temi samemi zasadami kierował się podczas krótkich rządów na Węgrzech.

Ogólne wrażenie zeznań hr. Khuena było nadzwyczaj korzystne. Członkowie opozycyi byli temi zeznaniami przygnębieni. Członkowie liberalnej partyi przerywali zeznania Khuena często okrzykami „Eljen!“.

Budapeszt 4 sierpnia. Ministeryum spraw wewnętrznych zaprzecza stanowczo, jakoby pewien wyższy urzędnik tego ministeryum udał się do Dienesa, wręczył mu paszport, ważny na cały świat, poczem w towarzystwie 3 ajentów przeprowadził rewizyę w jego mieszkaniu i zabrał jego notatki i listy.

Wiedeń 4 sierpnia. Do jednego z tutejszych dzienników donoszą z Budapesztu, że hr. Stefan Tisza został powołany do Ischlu i że już tam pojechał. Oprócz hr. Tiszy został także powołany do Ischlu A. Weckerle w drodze telegraficznej.

Dziennik ten pisze dalej, że hr. Khuen zaraz po przesłuchaniu w komisyi śledczej parlamentarnej uda się do Ischlu i wręczy Cesarzowi swoją dymisyę, a Cesarz bez wątpienia ją przyjmie.

Konklawe.

(Telegram Przeglądu).

Rzym 4 sierpnia. Kardynał Herrera ciężko zachorował. Wczoraj nastąpiło tak znaczne pogorszenie, że udzielono mu ostatnich Sakramentów św.

Z rozporządzenia zarządzcy konklawe sprowadzono do konklawe znaczne zapasy żywności.

Tribuna donosi, że kardynał Langenieux dostał ponownego ataku podagry, oraz że zachorował kardynał Couillé.

Rzym 4 sierpnia. Wczoraj o godzinie 5 popołudniu na placu św. Piotra zebrał się znowu wielki tłum. Wojsko utworzyło 4 rzędowy szpaler. Wszystkie bramy Bazyliki św. Piotra stały otworem. O godzinie 6 minut 25 zauważono długi słup dymu, unoszący się ponad dachem kaplicy Sykstyńskiej, około 10 minut z przerwami. Następnie tłum rozszedł się.

Co i o czem piszą.

P. Aleksander Wybranowski opowiada w *Dzienniku Polskim,* jak ogromnej zmianie pod względem ludzi uległo za jego czasów Podole galicyjskie. Pisze on:

Uderza wszędzie w oczy ubytek ludzi dobrze znanych i zasłużonych po wsiach i w powiatach. Są powiaty już tak przerzedzone, że częstokroć do usługi autonomicznej powołać nie ma kogo.

Z żalem się szuka tych ludzi i tych wiosek, w których oni mieszkali — gdzie się przechowywały czyste staropolskie zwyczaje i uczucia patryotyczne, niosące w każdej potrzebie chętnie ofiary, gdzie nie było jak dziś podziału na różne partye konserwatystów i demokratów, ale w każdej piersi biło jednakowe serce polskie dla ojczyzny.

Na Podolu, za mojej już pamięci, znikła zamożna rodzina Golejewskich, a z majątków dużych wyzuli się: Mysłowscy, Hejdle, Rozwadowscy, Kęszyccy, Szumlańscy i wiele innych. Majątki ich, szczególnie w Tarnopolskiem i Zaleszczyckiem, przeszły w ręce żydów. Dobra książąt Poniatowskich Skałat z czterema dużemi wsiami: Monczanówka, Kamionka, Rozochowadzieć, Chmieliska, nabyła familia Rosenstocków słowem najpiękniejsze wsie posiadają dawni kupcy zbożowi.

W tym samym, co wspomniałem, Rozochowadźcu mieszkał dzierżawiąc czas jakiś mój brat przyrodni Jan Łopuszański. Często przebywałem u niego po naukach moich w Krakowie i w poprzednich moich zapiskach opisałem, jak ten folwark wtenczas wyglądał. Nie będę więc powtarzał. W sąsiedniej Kamionce mieszkał Wendorf stary kawaler, w Monczanowie Lipczyński, a w Chmieliskach Augustyn Małachowski.

Bywaliśmy w dalszem sąsiedztwie w Kaczanówce u Czarnieckiego, starego kawalera dziwaka, W Orzechowcu u Marcinostwa Zawadzkich. Ona ładna — z domu Czyżówna — potem dalej w Rożyskach u Rozwadowskich Wiktorów. Pani bardzo rozumna, wzorowa matka z domu Szymanowska, Szymona i Franciszka siostra. Rożyska potem nabył Kazimierz Grocholski, późniejszy minister i prezes Koła polskiego w Wiedniu — miał za sobą Rosowską, także rozumną kobietę. Nieco jeszcze dalej w Turówce u majorostwa Rozwadowskich, braterstwa Wiktora, był dom bardzo przyjemny i poważny, była w nim panienka, najstarsza córka Kamila na wydaniu. W Koszyńcach u Kozłowieckiego, w Łuce u br. Henryka Hejdla, świeżo ożenionego z ładną i rozumną osobą, Waleryą Podlewską.

Skałat trzymał w dzierżawie Hilary Kemplicz, Grzymałów był własnością Antyma Nikorowicza, dziwnie miłego i uprzejmego człowieka, mającego dwóch synów Karola i Stanisława i jedynaczkę córkę Julję, która po jego śmierci poszła za Leonarda Pinińskiego i wniosła mu w posagu Grzymałów.

Między Monczanówką a Rosochowadźcem, krzyżowały się dwa duże gościńce — jeden od Podwołoczysk do Tarnopola, a drugi ze Skałatu do Zbaraża.

Po drugiej zaś stronie Rosochowadźca w Korszałówce mieszkał stary kawaler Bilski, dzierżawiąc ją od Turzańskich, mieszkających w Węgrzech. W Bogdanówce mieszkała hr. Dobrzyńska, a córka jej Strzałkowska, ładna osoba w Klebanówce, jeszcze dalej w Skorykach Stanisław Tuczyński. Zbaraż od księcia de Ligne dzierżawili panowie Jordany, a Hnilice szwagier ich Teofil Winnicki posiadał.

Niektóre z tych wiosek choć wyszły z rąk jakie w ten czas je posiadały — zostały dotąd w polskich rodzinach — jednak jak już powiedziałem, mówiąc o Tarnopolskiem, większą część posiadają żydzi.

Wymieniam majątki — bo to daje obraz naszych przed półwiekiem stosunków, naszego osiedlenia stanowiącego jak gdyby jedną dużą rodzinę szlachecką. A taką była wówczas cała prawie Galicya — bo dopiero po 1848 roku poczęła się zmieniać, gdy żydom pozwolono przy równouprawnieniu ziemię kupować.

Nabyli zaraz bogaci kupcy zbożowi tarnopolscy najpiękniejsze wsie — bo przedtem pożyczając naprzód na zboże i wódkę szlachcie pieniądze, utrzymywali ją i sami zbijali fortuny, za które łatwo, mając już na hipotece u niejednego właściciela pieniądze, stawali się sami właścicielami.

Mały feljeton.

Z dziejów ducha.

Zstąpiłem we śnie w ciemne przeznaczeń otchłanie
Ponura się przedemną otworzyła grota...
Wielki miech dął w ognisko, dymiące przy ścianie.
A z wnętrza szedł potężny huk ciężkiego młota...

Spojrzałem w głąb: przy świetle, co drży i migota,
Wśród krwawych skier, nieznośnych oku, jak cierń [ranie.
Ujrzałem dwóch cyklopów, smutnych jak tęsknota,
Niemych, jak ból, co serce toczy niezbłaganie.

Kuli coś na kowadle w zawziętem milczeniu,
A węzły żył nabrzmiałych i czoła zroszone
Świadczyły o bolesnem, śmiertelnem znużeniu...

Chwilę stałem, ciekawie tężąc wzrok w ich stronę,
I nagle — pod młotami, przy żywszym płomieniu
Ujrzałem skrzydła duszy mej — niedokończone!!

KRONIKA.

Lwów 4 sierpnia.

Mianowania. Cesarz zamianował x. dr. Błażeja Jaszowskiego, zwyczajnego profesora prawa kościelnego na uniwersytecie lwowskim, kanonikiem honorowym kapituły metropolitalnej obrz. łać. — Wydział krajowy zamianował dr. Stanisława Kruszyńskiego, sekundaryusza w zakładzie kulparkowskim, prymaryuszem tamże, a dr. Alfreda Brauna drugim sekundaryuszem w szpitalu powszechnym w Drohobyczu.

Dr. Tadeusz Teodorowicz, fizyk powiatowy ze Stanisławowa, przeniósł się na stały pobyt do Lwowa, gdzie będzie urzędował w biurze sanitarnem w namiestnictwie.

Hotel Żorża, który przez przeszło sto lat pozostawał w zarządzie rodziny Hoffmanów, wydzierżawił na sześć lat marszałek kasyna narodowego, p. Brzezicki.

Kradzież orderów. Niewyśledzeni dotychczas złodzieje włamali się wczoraj popołudniu do pomieszkania radcy apelacyjnego p. Piwockiego, zamieszkałego przy ulicy Małeckiego l. 3 i skradli złoty krzyż zasługi z koroną, order papieski św. Grzegorza, rewolwer i 228 koron gotówki.

Nieprawdziwa wiadomość. Jedno z pism lwowskich doniosło, że nad Lwowem ukazało się widmo komisarza rządowego, wskutek niesłychanie rozrzutnej, w wysokim stopniu nieprawidłowej i obciążającej miasto olbrzymiemi długami gospodarki teraźniejszego zarządu. Pismo to utrzymuje, że p. namiestnik odniósł się już w tej sprawie do Wydziału krajowego. Otóż wiadomość ta jest nieprawdziwą, a zrodziła się ona zapewne na tem przeświadczeniu, że Lwów pod teraźniejszym zarządem miejskim zmierza ku przepaści. I niezawodnie więcej niż $^9/_{10}$ mieszkańców Lwowa, przeczytawszy tę wiadomość wcale się nią nie zasmuciło i uważało ją za zupełnie prawdopodobną. A jednak jest ona nieprawdziwą. Pan namiestnik udał się jedynie do Wydziału krajowego z prośbą o dostarczenie mu aktów w sprawie gospodarki miasta Lwowa, a to z powodu wniesionej w Radzie państwa interpelacyi o niesłychanych nadużyciach, popełnianych w zarządzie miejskim.

Proces o szpiegostwo. Jutro rozpocznie się przed trybunałem orzekającym w Wiedniu proces przeciw byłemu komisarzowi lwowskiej dyrekcyi skarbu, dr. Bronisławowi Ossolińskiemu, oskarżonemu o współudział w zbrodni szpiegostwa na rzecz Rosyi. Obrony oskarżonego podjął się adwokat dr. Duniecki z Wiednia.

Szkoła szewska w Dobczycach. Donosiliśmy, że Wydział krajowy uchwalił zwinąć tę szkołę. A to powód, dla którego to uczynił. W Dobczycach istnieje około 400 szewców prywatnych. Zaopatrują oni okoliczne gminy w obuwie. Że jednak na jarmarkach naszych pojawia się już coraz częściej obuwie z rozmaitych fabryk zakrajowych: z Karlsbadu, z Mödlingu etc. i że handlarze tego obuwia z powodów konkurencyjnych, obniżają ceny swego towaru poniżej tej, po jakiej mogą sprzedawać szewcy dobczyccy, przeto ci biedni ludzie, czując coraz większy brak odbytu, wpadli na dziwny pomysł, iż to szkoła dobczycka sprawia im niesłychaną konkurencyę, zwłaszcza, że szkoła ta fabrykowała w samej rzeczy bardzo dużo obuwia i chętnych znajdowała na nie nabywców. Udali się więc szewcy dobczyccy do miejscowej Rady gminnej i wymogli na niej, że uchwaliła odmówić udzielania subwencyi, jaką dotąd tej szkole dawała.

Ta odmowa Rady miejskiej dobczyckiej posłużyła Wydziałowi krajowemu za pretekst do uchwały o zwinięciu szkoły. Szkoda wielka, że ubywa instytucya, która mogła zawód szewski podnieść w ogóle w kraju.

Wisłą z Warszawy do Krakowa. P. Kazimierz Matecki, inżynier warszawski a zarazem wiceprezes tamecznego Tow. wioślarskiego wyjechał w czwartek z Warszawy na małej łodzi parowej, skonstruowanej przez siebie, w górę Wisły do Krakowa, gdzie jest dziś oczekiwany. Naprzeciw warszawskiego gościa wyjechali krakowscy wioślarze do Niepołomic.

Konkurs na utwór dramatyczny. Wydział krajowy rozpisuje konkurs do 31 grudnia br. na utwór dramatyczny, mogący wypełnić cały wieczór. Fundusz konkursowy wynosi 2.000 koron.

Kobiety na uniwersytecie lwowskim. Fejletonista warszawskiej *Gazety Polskiej* p. Z. D. odwiedził tymi dniami bawiących na wsi pod Warszawą znajomych swoich, który mają dorastającą córkę. Panienka ta skończyła gimnazyum i miała zamiar odbyć studya wyższe, nie mogła tylko zdecydować się dokąd jechać. Gdy się dowiedziała, że p. Z. D. był we Lwowie i zna to miasto dobrze zapytała:

— Powiedz mi pan otwarcie, czy warto tam studyować?

— Naturalnie. Sądzę, że nie może być lepszego wyboru. Od chwili kiedy uniwersytet tamtejszy otworzył wrota swoje kobietom, w audytoryach zaroiło się od panien. Z początku były to rzadkie wypadki, dziś są już studentki prawdziwe. Zaczyna się nawet kształtować w warunkach miejscowych pewien typ słuchaczki uniwersytetu, inny i — sympatyczniejszy od typów zagranicznych.

— Ale nie o to mi idzie. Niech mi pan mówi o studyach...

— Ma pani przedewszystkiem dwie drogi do wyboru: albo dyletanckie słuchanie „powszechnych wykładów uniwersyteckich“, zorganizowanych specyalnie dla kobiet i trzymanych na poziomie popularnym, albo uniwersytet.

— Tylko uniwersytet i tylko wydział filozoficzny.

— Doskonale. Oprócz literatury polskiej, której katedra po ustąpieniu prof. Romana Pilata i wskutek choroby prof. Bruchnalskiego, niestety, nie spełnia należycie swych zadań, ma pani wszystkie katedry na tym wydziale obsadzone znakomicie, a zwłaszcza historyę. Od niej zacznijmy. Wykładają profesorowie: Wojciechowski, Finkiel, Askenazy i Dembiński, nadto dodatkowo można słuchać świetnych wykładów prawniczych prof. Balzera z zakresu historyi ustroju politycznego Polski. Filozofię reprezentuje prof. Twardowski, gramatykę porównawczą Kalina, literatury romańskie wykłada Porębowicz, na katedrach przyrodniczych ma pani Dybowskiego, Nusbauma, Zakrzewskiego, Siemiradzkiego itd. o innych tajemnicach astronomii dowie się pani od prof. Ernsta, do labiryntu zawiłych zagadnień matematycznych wprowadzi panią prof. Puzyna... Jest w czem wybierać...

Panienka zdecydowała się przyjechać do Lwowa w jesieni.

Zjazd śpiewaków polskich w Charlottenburgu. W tych dniach odbył się w Charlottenburgu koło Berlina II zjazd polskich Towarzystw śpiewackich okręgu brandenburskiego. Urządziło go „Koło śpiewackie“ charlottenburskie, do popisu zaś stanęły „Harmonia“ berlińska, oraz kółka śpiewackie z Moabitu i Szpandawy. Kółko brandenburskie nie przybyło wskutek przeszkody. Nie obeszło się w tej uroczystości bez szykany ze strony Niemców. Otto x. Faber, proboszcz charlottenburski, zrazu przyrzekł, że odprawi się polskie nabożeństwo na intencyę zjazdu, ale w ostatniej chwili obietnicę cofnął, bo — jak się wyraził — Niemcy czuliby się pokrzywdzeni polskiem nabożeństwem. Pozwolił tylko na odśpiewanie w kościele paru pieśni polskich naprzemian z niemieckiemi.

Na uroczystem posiedzeniu Zjazdu podnoszono, jak piękne zadanie spełniają polskie Towarzystwa śpiewackie w Prusiech. Tak np. jeden z mówców oświadczył, że im tylko zawdzięcza, iż nie utonął w morzu niemczyzny, wśród której żyje już lat 30. Odczytano następnie liczne depesze od bratnich Towarzystw w Wielkopolsce.

Popis śpiewacki odbył się przy nader licznym udziale publiczności polskiej, a udał się bardzo dobrze. Sąd konkursowy przyznał pierwszą nagrodę „Harmonii“ berlińskiej, a drugą „Kołu śpiewackiemu“ w Szpandawie. Nagrody stanowiły wieńce na sztandar ze srebrnemi ozdobami. „Harmonia“ berlińska poprzednio już dwa razy zdobyła na zjazdach pierwszą nagrodę, pierwszy raz w Gnieźnie, drugi w Poznaniu.

Kara śmierci w Anglii. W Anglii może skazaniec z całą dokładnością obliczyć dzień, w którym go stracą. Wie, że będzie to wtorek, bo w innym dniu nie dokonuje się egzekucyi, mianowicie trzeci wtorek od dnia zasądzenia. Zwiastuje mu to zresztą dyrektor więzienia nazajutrz po ukończeniu rozprawy. Na 72 godzin przed egzekucyą doręczają skazańcowi ministeryalne zatwierdzenie wyroku. Odtąd wie na pewne już, że nie masz na świecie mocy, która zdołałaby go ocalić. Niektórzy skazańcy szukają jeszcze deski ratunku w błagalnej depeszy do tronu. Nie zdarzyło się jednak ani razu, by na taką prośbę nadeszła odpowiedź. Nadchodzi okropny wtorek. Z pierwszym brzaskiem świtu przychodzi kapłan. Na trzy minuty przed godz. 8 rano otwierają się nagle drzwi celi i szybkim krokiem wchodzi pięciu czarno ubranych mężczyzn. Jednym z nich jest dyrektor więzienia; komenda jednak w tej chwili przypada komu innemu. Jest to mały, barczysty człowiek o jowialnem czerwonem obliczu. To „mistrz“ Billington. Pomocnicy jego w okamgnieniu wiążą zbrodniarzowi ręce, w tył przechylone, na plecach. Dozorca podaje mu łyk koniaku. Ogłuszony trwogą, nieświadomie postępuje delikwent, gdzie go popchną. W końcu korytarza znajduje się duża, pusta izba. Zapełnia ją w tej chwili około dwadzieścia osób z blademi od wzruszenia twarzami — to reporterzy pism. W pośrodku, uczepiony do powały kołysze się sznur. Delikwent staje pod nim — błyskawicznie pada zbrodniarzowi na szyję pętla, a głowę zakrywa mu biały płócienny woreczek. Równocześnie krępują mu nogi. W tej chwili z przerażającym chrzęstem otwierają się raptownie maskowane drzwiczki pod stopami skazańca. — Cała tragedya jego walki przedśmiertnej ginie w głębi; tylko szarpanie się gwałtowne sznura każe ją odgadywać. Trwa to zaledwie parę sekund. Sznur wyprężony nie drgnie nawet; w głębi nastał spokój śmierci.

Zamach na dyrektora fabryki. Czytamy w gaz. *Now. Wremia*: „W d. 15 b. m. dokonano zamachu na p. Markozowa, który od wielu lat jest dyrektorem fabryki Adelhanowa i Spółki w Petersburgu. Cała jego pracaześrodkowuje się w głównym kantorze i w zarządzie, i z tego powodu, jak sam twierdzi, nie mógł mieć żadnej bezpośredniej styczności z robotnikami garbarni, z których jeden dokonał właśnie zamachu na jego życie. W d. 15 b. m., o godz. $9^1/_2$ rano, p. Markozow przyjechał do fabryki dla porozumienia się z jej dyrektorem, p. Arutiunowem. W czasie ich rozmowy z fabryki wyszedł robotnik i skierował się ku nim. Nie przypisywali temu oczywiście żadnego znaczenia, tembardziej, że koło nich była właśnie droga do ustępu fabrycznego. Podszedłszy do p. Markozowa, robotnik na odległość prawie jednego kroku dał strzał z rewolweru. Kula trafiła w okolicę serca, ponieważ jednak spotkała po drodze mocny materyał surduta i kamizelki oraz sprzążkę szelek, więc zboczyła, zrządziwszy p. Markozowi tylko silną kontuzyę. Ranny instynktownie zakrył kontuzyonowane miejsce ręką. W tej chwili padł drugi strzał i kula przeszyła dłoń na wylot. Dyrektor Arutiunow krzyknął na robotnika, aby go powstrzymać. Ten jednak, sądząc, iż skończył już z Markozowem, strzelił do Arutiunowa i ranił go wyżej kolana w nogę. Kula przeszła na wylot. Wówczas p. Markozow wyjął również rewolwer i dał trzy strzały do robotnika, ale chybił. Robotnik ten przed kilku dniami zgłosił się do p. Markozowa do głównego kantoru i prosił o podwyżkę. Markozow odpowiedział mu, iż to nie leży w jego kompetencyi, że przeto winien zwrócić się do administracyi fabrycznej bezpośrednio. Ta odmowa była powodem tej zbrodni“.

Posłuchanie na dworze pekińskim. Korespondent *Razwiedczyka* podaje ciekawe szczegóły o audyencyi, w której brał udział: „Około godz. 12 zaproszono nas do pałacu. Szliśmy dosyć bezładnie, śmielsi tylko wysunęli się naprzód. W pałacu wprowadzono nas do dwu pokojów ze stołami, przygotowanymi do śniadania. Jedne stoły przeznaczone dla „poważniejszej“ publiczności, inne dla mniej poważnej, np. dla studentów misyi. Kartki wskazywały nazwiska każdego z przybyłych. Niebawem poprowadzono nas dalej. Przypuszczając, że tak samo, jak w pałacu Zimowym, przed dojściem do sali audyencyonalnej, trzeba przejść szereg salonów, zacząłem się rozglądać i obserwować zmiany, jakie tu zaszły po r. 1901. Posuwając się w ten sposób w tłumie, zobaczyłem, wchodząc do pierwszej sali, coś niewielkiego, w rodzaju manekina na podniesieniu. Widząc, że przed tym manekinem wszyscy się kłaniają, przekonałem się, że to człowiek żywy, a w dodatku kobieta — cesarzowa. Cesarza dostrzegłem siedzącego skromnie u podnóżka tronu cesarzowej. Naturalnie, przyglądam się ciekawie i nadstawiam ucha na rozmowę, jaką poseł amerykański prowadzi z cesarzową przez mandaryna-tłómacza. „Jak zdrowie, cieszę się, że widzę w dobrem zdrowiu“ i t. p. Mandaryn-tłómacz wyrazy, zwrócone do cesarzowej, powtarzał jej, zbliżywszy się do tronu i klęcząc z głową pochyloną. Trwało to wszystko nie dłużej nad minut 5. Audyencya skończona. W czasie jej trwania obecni przyglądali się cesarzowej i obserwowali urządzenie sali“.

Korespondent dodaje jeszcze, że cesarzowa chińska nie sprawia wrażenia przykrego: „Zwykły typ starej kobiety chińskiej z uśmiechem sarkastycznym na ustach. Strasznego w twarzy nic nie ma, ale maluje się energia i hart. Trzyma się śmiało i dumnie, bez względu na masę oczu, na nią patrzących. Cesarz napozór jest jeszcze chłopakiem młodym o wyglądzie chorobliwym. Patrzy na wszystko bardzo obojętnie, z pewnem zażenowaniem. Boi się nawet przyjrzeć obecnym. Wogóle sprawia wrażenie smutno-sympatyczne.

Ofiary. Powiatowa Kasa zaliczkowa i oszczędności w Żydaczowie nadesłała nam na gimnazyum polskie w Cieszynie 200 K.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 16 w poł. + 14 Bar. 761. Spada. Deszcz.

Myśli.

Im kobieta lżejsza, tem może sprawić cięższe życie.

Poczciwiec bez form towarzyskich, to brylant bez oszlifowania.

Złośliwie.

— Co ja, to mam zawsze serce na języku.

— Zawsze też sobie myślałem, że tam u ciebie nie wszystko jest jak należy.

Odpowiedzi Redakcyi. *WPani S. G. w Tarnopolu.* W Krakowie wychodzi *Przegląd polski* pod redakcyą hr. Jerzego Mycielskiego. Kosztuje rocznie 32 korony. Jest to miesięcznik doskonale redagowany. Również w Krakowie wychodzi *Przegląd powszechny* wydawany przez OO. Jezuitów, także miesięcznik, cena ta sama, redakcya bardzo staranna. W Warszawie wychodzi *Biblioteka warszawska* pod redakcyą Adama hr. Krasińskiego. Rocznie kosztuje 12 rubli i jest miesięcznikiem, mogącym zadowolić najwybredniejsze wymagania. Adres: Ulica Foksal 6.

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. We wtorek „Jaś i Małgosia.“ We czwartek po raz 1-szy „Bandyci“ Offenbacha.

Repertuar letniego teatru ludowego przy ul. Kochanowskiego l. 23. We wtorek 4 sierpnia „Okrężne,“ kom. w 2 a. ze śpiewami Korzeniowskiego i „Węglarze,“ operetka; występ A. Zimajer. — We czwartek występ A. Zimajer „Nitouche,“ operetka. W sobotę występ A. Zimajer po raz 1szy „Emigracya chłopska,“ sztuka w 5 a. ze śpiewami Anczyca. — W niedzielę 9 sierpnia uroczyste przedstawienie ku uczczeniu pamięci straconych ofiar na stokach cytadeli warszawskiej: popołudniu „Matka Polka,“ sztuka w 4 a.; wieczorem „Ksiądz Marek,“ dramat w 5 a. J. Słowackiego.

Cyrk. Dziś we wtorek wielkie przedstawienie. Występ wszystkich artystów i artystek. Na ogólne żądanie po raz ostatni „Looping the Loop“.

Colosseum. Od soboty 1 sierpnia codziennie o godz. 8 wieczór wspaniały program nowości, 10 pierwszorzędnych atrakcyi. W niedzielę i święta dwa przedstawienia, o godz. 4 popoł. i 8 wieczór.

Z targów zbożowych.

Wiedeń, 2 sierpnia.

(Z.). Węgierscy rolnicy zacierają ręce z radości, oni bowiem już dawno zwieźli swoje zboże z pola, podczas gdy w Austryi, w Niemczech południowych i we Francyi złośliwa aura płata ziemianom figle i zabiera im znaczną część ciężko zapracowanego dobytku. Nie ma w tych krajach jednego dnia bez deszczu, a rolnicy są skutkiem tego w prawdziwej desperacyi, co chwilę bowiem muszą przerywać roboty w polu i tylko niejako ukradkiem mogą upatrzywszy pogodną godzinkę, zwieść jakąś cząstkę moknących na łanach snopów. Rozumie się samo przez się, że deszcze te wpływają bardzo niekorzystnie na jakość zboża. Najbardziej niepokojące doniesienia nadchodzą z południowych Niemiec, zagrożony tam jest w wysokim stopniu sprzęt żyta i jęczmienia. Także szacowania spodziewanych zbiorów amerykańskich są obecnie o wiele niższe niż były przed dwoma tygodniami, skutkiem czego ceny zboża w Ameryce okazują tendencyę zwyżkową. W połowie lipca szacowano przypuszczalny zbiór pszenicy w Stanach Zjednoczonych na 720 milionów buszli, ostatnie zaś depesze z Chicago redukują tę cyfrę na 665 milionów buszli. Natomiast korzystnie brzmią doniesienia z południowej Rosyi.

Zagraniczni handlarze zbożowi, zwłaszcza z Niemiec, stawili się wczoraj na targu tutejszym w dosyć pokaźnej liczbie, znaczniejszych transakcyi jednak nie zrobiono, gdyż podaż była stosunkowo nieznaczna. Rolnicy węgierscy mają bowiem taki nawał pracy już to z wymłotem zboża, już to z układaniem go w stogi, że nie myślą na razie o sprzedawaniu go. Zresztą czekają oni na to, jak ułożą się ceny, a że skutkiem słot, jakie panują w ościennych krajach, spodziewają się dobrych cen, przeto nie chcą robić żadnych ustępstw. To też nie ma prawie żadnej różnicy między ceną starej a nowej pszenicy.

Stosunkowo najbardziej ożywionym jest handel w jęczmieniu, znajduje się on jednak dopiero w pierwszem stadyum niejako informacyjnem i ceny dopiero zaczynają się formować.

Rozpoczął się już także handel transitowy zbożem rumuńskiem. Wprawdzie tegoroczne zbiory rumuńskie wypadły nieco gorzej niż zeszłoroczne, ale bądź co bądź ma Rumunia i w tym roku dosyć znaczne ilości zboża na eksport. Kupcy niemieccy nabyli wczoraj kilka dużych transportów czerwonej pszenicy rumuńskiej po cenie 13—$13^1/_2$ marek za 100 kilo loco Passawa.

W Czechach widoki na żniwa są coraz gorsze, wobec czego konsumcya tamtejsza, która aż do tej pory powstrzymywała się z zakupnem obcego ziarna, zaczyna przecie rozglądać się za niem. Ostatnimi dniami sprzedano dosyć duże partye pszenicy węgierskiej do Czech.

Ceny zboża w południowych Niemczech i Szwajcaryi trzymają się wciąż na poziomie, umożliwiającym eksport pszenicy węgierskiej do tych krajów. Nie przedstawia on wprawdzie wielkich widoków zysku, ale w każdym razie jest możliwy.

Dzisiejszy stan zapasów głównych gatunków ziarna, nagromadzonych w Wiedniu, jest następujący: pszenicy 82 wagonów, żyta 67, jęczmienia 41, owsa 381, kukurudzy 184, soczewicy 35 wagonów.

Płacono loco Wiedeń: Za pszenicę cisańską starą (78 do 82 kilo) 8·35—8·65, za nową (78 do 80 kilo) 8·25—8·40, za słowacką nową (75 do 80 kilo) 7·60—7·85.

Żyto potaniało o 5 do 10 hal. na 50 kilogramach. Za słowackie nowe płacono 6·60—6·70, rozmaite węgierskie nowe 6·45—6·70, austryackie nowe 6·45—6·60.

Za jęczmień morawski płacono 7·75—8·50, za najprzedniejsze gatunki aż do 8·75, słowacki 6·90—8·25, ze stacyi nad środkowym Dunajem 6·80—7·20, cisański 6·40—7·50, jęczmień na paszę 5·70—6·00.

Za owies węgierski w poślednich gatunkach płacono 5·65—5·75, średnie gatunki 5·75 do 6·00, prima 6·00—6·55.

Za kukurudzę węgierską płacono 6·60 do 6·80, Cinquantin 7·50—8·00.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne).

Wiedeń 4 sierpnia. *Wiener Ztg.* ogłasza rozporządzenie cesarskie znoszące ustawę o kontyngencie cukru.

Wiener Abendpost pisze w tej sprawie, że ponieważ rząd ani chwili nie wątpił, iż brukselska konferencya nie zajmie innego stanowiska jak to, jakie zajęła komisya, a niepewność szkodzi przemysłowi cukrowemu, zdecydowano się wszystko uczynić, by tego nieznośnego stanu niepewności nie przedłużać. Wobec orzeczenia londyńskiego, że cukier austryacki nie będzie dopuszczony na tamtejszy targ, austryaccy przemysłowcy cukrowi zwrócili się do rządu z prośbą, by jak najprędzej przeszkodę tę usunął, zwłaszcza, że cukier węgierski ma być dopuszczony na targ londyński. To nakłoniło rząd do wydania wspomnianego rozporządzenia.

Zarazem zawiadamia się, że § 5-ty ustawy kontyngentowej, nie sprzeciwiający się brukselskiej konwencyi i przez komisyę uznany, który w Austro-Węgrzech stał się prawomocny przez ustawę o podatku cukrowym, pozostanie nadal w mocy. Reszta kwestyj będzie w drodze porozumienia między obu rządami jak najrychlej załatwiona w duchu konwencyi cukrowej i polityki celno-handlowej.

Paryż 4 sierpnia. Wczoraj odbyły się tu dwa zgromadzenia socyalistyczne, na których żądano rozdziału państwa od Kościoła. Po zgromadzeniach przyszło do bójek, którym położyła koniec policya.

Madryt 4 sierpnia. W Barcelonie wybuchł strejk generalny. Wydano ostre środki ostrożności. W Murcyi i innych miejscowościach również zapanował strejk generalny.

Kadyks 4 sierpnia. W Alcala del Valle przyszło do zaburzeń z powodu strejku. W starciu pomiędzy strejkującymi a żandarmami jednego robotnika zabito, kilku zraniono. Zraniono także dwóch żandarmów.

Kolonia 4 sierpnia. Do *Koeln. Ztg.* donoszą z Petersburga na podstawie wiadomości, zaczerpniętych z prasy chińskiej, że 200 rabusiów wdarło się do letniego pałacu cesarzowej wdowy w Pekinie i zrabowało kosztownych przedmiotów na 100.000 taelów. Dotychczas tylko 6 rabusiów schwytano.

Nowy Jork 4 sierpnia. Nadeszło tu od chińskiej partyi reformy wezwanie do mocarstw, aby nie wydawały rządowi chińskiemu dziennikarzy chińskich, którzy brali udział w powstaniu.

Londyn 4 sierpnia. Król angielski wystosował do Irlandczyków orędzie, w którem wyraża głębokie zadowolenie z przyjęcia, jakie mu zgotowali i życzy Irlandyi, aby dobrodziejstwa pokoju i powodzenia w jak największej mierze spłynęły na nią.

(Depesze popołudniowe).

Rzym 4 sierpnia. **Kardynał Sarto, patryarcha wenecki, wybrany został Papieżem.**

(Giuseppe Sarto, patryarcha wenecki, urodził się w Treviso w r. 1835. W r. 1884 został biskupem, w r. 1893 kardynałem i patryarchą weneckim. W poglądach swych jest najbardziej zbliżony do Capecelatra, z tą różnicą, że niechętnie wyraża je publicznie. Ale składał w postępowaniu dowody osobistej przychylności rodzinie sabaudzkiej. W czasie zjazdu króla Humberta z ces. Wilhelmem w Wenecyi odwiedził ostentacyjnie króla Włoch Zjednoczonych. W Wenecyi jest powszechnie kochany z powodu swej prostoty w obejściu; posiada też wielu przyjaciół osobistych między członkami św. Kolegium. *Przyp. Red. Przeglądu.*).

Rzym 4 sierpnia. O godz. 11tej (czas środkowo-europejski) ogłosił x. kardynał Macchi z balkonu bazyliki św. Piotra zebranym na placu św. Piotra kilkudziesięciotysięcznym tłumom, że X. kardynał Sarto przyjął wybór na Papieża i przybrał imię Piusa X.

Ludność przyjęła to zawiadomienie z ogromnym entuzyazmem. Fale ludu rzuciły się ku bramom kościoła, aby otrzymać błogosławieństwo od Ojca św. Nie było jednak żadnego wypadku, bo wojsko, bardzo dzisiaj wzmocnione, utrzymało wzorowy porządek.

Wrocław 4 sierpnia. *Schlesische Ztg.* donosi, że cesarzowa niemiecka przybędzie tu dnia 10 bm. celem zwiedzenia okolic, dotkniętych powodzią; cesarzowa będzie też na posiedzeniu komitetu dam, utworzonego dla niesienia pomocy powodzianom.

Paryż 4 sierpnia. W Rochefort zmarł wczoraj komendant eskadry morza śródziemnego, admirał Pottier.

Londyn 4 sierpnia. Izba wyższa przyjęła w drugiem czytaniu irlandzki bil agrarny.

Izba niższa przyjęła w trzeciem czytaniu bil co do budowy floty.

Boston 4 sierpnia. W północnych okręgach 30.000 robotników pozostanie bez roboty, ponieważ przędzalnie zawieszają pracę.

Barcelona 4 sierpnia. Wczoraj uwięziono pewnego człowieka, który miał przy sobie patrony dynamitowe. Jest on synem znanego anarchisty. Policya przeprowadziła ścisłą rewizyę w pomieszkaniu aresztowanego.

HOTEL GEORGE'A.

Przyjechali dnia 4 sierpnia. R. Twerdy z Bielska. D. Pogłodowski z Sudkowic. M. Kaczanowska z Rosyi. M. Zwan z Petersburga. W. Bączkowski z Dobrowód. M. Mühlberg i C. Schmidt z Szwecyi. Hr. J. Ledóchowska z Wołynia.

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 4 sierpnia. K. Biliński z Szarpaniec. M. Ulazurski, Z. Dembowski i J. Rydel z Krakowa. F. Griwec z Lublany. N. Wysoczański i N. Tworkowska z Sambora. J. Stieglitz i J. Weisz z Wiednia. B. Politzer z Wygody. O. Stern z Neisse. N. Dorożyński z Rohatyna. A. Dżerowicz z N. Sącza. P. Mansberg ze Złoczowa. K. Suthy z Zurychu. N. Michałowski z Żółkwi.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 4 sierpnia. Z. Antonowicz z Łodzi. Ch. Jokisch z Kijowa. J. Korzenny z Drozdowiec. J. Biedermann z Trembowli. M. Polański z Kamiennej. K. Abgarowicz z Żydaczowa. M. Szutkowscy z Wiednia. M. Thom z Żełdca. J. Pieniążek z Lipinki. J. Solmann z Satanowa.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 4 sierpnia. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kred. z obl. pr. z r. 1890 3% 288.—
" " " " z r. 1889 3% 000.00
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m. k. 4% 278.00
Uregulow. Dunaju z r. 1880 100 zł. 5% 278.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4% 259.—
Pożyczka serbska prem. po 100 frank. 2% 87.—
Tureckie obl. prem. kolej. po 400 frank. 122.00

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 18.90. Zakładu kred. dla handl. i przem. po 100 zł. 434.00, Clary 40 zł. m. k. 162.00, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 82.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 80.00, Pożyczka m. Lublany 20 zł. 72.00, Ofen 40 zł. 167.00, Palfiy 40 zł. m. k. 172.00. Czerwonego krzyża austryackie 10 zł. 54.25, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 26.60, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 68.—, Salma 40.00, m. k. 221.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 80.00 zł. Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 250.00, Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 458.—.

Wiedeń 4 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier 20·60 (spokojnie). Spirytus 41·60 (bez zmiany). Nafta niezmieniona.

Berlin 4 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·30. Spirytus 00·00.

Paryż 4 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 98·00. Mąka („Fleur de Paris“) 00·00.

Frankfurt 4 sierpnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 208·10. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 000·00. Laura 000·00.

Budapeszt 4 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na październik 7·34—7·35, na kwiecień 7·56—7·57; żyto na październik 6·18—6·19, na kwiecień 6·32—6·33; owies na październik 5·22—5·23, na kwiecień 5·52—5·53; kukurudza na sierpień 6·23—6·24, na 6·24—6·25, na maj 1904 4·91—4·92. Rzepak na sierpień 11·10—11·20. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna: dobra. Usposobienie: przyjemniejsze. Pogoda: wiatr.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 4 sierpnia.

Marki 117.40, renta majowa 100.35, węgierska renta koronowa 99.—, akcye: austr. zakł. kredyt. 661.—, węg. zakł. kred. 731·00, anglobanku 273.50, unionbanku 524.50, bankvereinu 478.00, länderbanku 409.50, kolei państw. 668.75, lombardy 80.75, akcye kolei Elbethal 425·00, fabryki broni 000.—, tytoniowe 365.50, alpiny 363.00, Rima Muranyi 454.00, prag. Tow. żel. 0.000, losy tureckie 122·50, ruble 252.75. Usposobienie: bez interesu.

Lwów 4 sierpnia. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 575.— do 585.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 535.00 do 545.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor —·— do —·—. Tow. budowy wagon. w Sanoku po 500 koron —·— do 850·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hip. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·25 do 000.00. 4 i pół proc. los w 50 lat 100.80 do 000·00, 4 proc. los w 60 lat 97.80 do 00.00 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 5? lat 102.00 do 102·70. Banku kraj 4 proc. los w 57 lat 96·75 do 99.45 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 98.50 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 9?·50 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 98.55 do 99.25.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 99.?0—100.5?. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 103.0? do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em.) 101.70 do 000.?0. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 98.80 do 99.50. Pożyczki kraj. z roku 1873 $4^1/_2$ proc. —.— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 99.30—100.00, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 96.80 do 00.00, $4^1/_2$% po 200 koron 101.50 do 000.00.

Monety. Dukat cesarski 11.24—11.40. Napoleondor 19.00 do 19.20. Sto rubli papierowych 252.0?—254.50. Sto marek 11?.?0 do 117.80.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1903 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 6.10, 8.55, 5.50, 9.50*.
Z Rzeszowa: 10.25.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.55, 5.80, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.85, 5.06, 10.02*.
Z Tarnopola: 8.80* (na dw. gł.) 8.09* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20.***, **1.40**, 6.20, 5.40, 9.20*.
Ze Stanisławowa: 11.15, **8.10**.
Ze Stryja: 7.45, 9.57, 1.10, 4.35, 10.40*.
Z Rawy i Sokala: 6.50, 5.55.
Z Janowa: 7.40, 1.25, 9.25*, 10.07* (od 17/5 w niedziele i święta).
Z Brzuchowic: 8.15 (od 17/5), 8.14 (od 17/5 w niedziele i święta), 8.04* (od 17/5 w niedziele i święta). 8.25* (od 15/5 w dni powszednie), 9.12* (od 17/5 w niedziele i święta).
Z Tuchli: 4.35 (od 15/6).
Ze Skolego: 4.35 (od 1/5).
Z Pustomyt: 9.35 (od 1/6 w niedziele i święta).

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **8.25**, **2.50**, 4.10*, 8.35, 6.15*, 10.55*
Do Rzeszowa: 8.25.
Do Przemyśla: 7.20*.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.50**, 6.30, 9.—*, 11.—*; z Podzamcza: **2.04**, 6.48, 9.20*, 11.24.
Do Tarnopola: 10.40 z dw. głównego, 10.57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.22, 10.35, 10.42*.
Do Stanisławowa: 6.05*.
Do Stryja: 6.4?, 9.05, 3.05, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 9.40, 7.05*.
Do Janowa: 9.15, 1.14 (od 17/5 w niedz. i święta), 8.15, 6.30*, 9.55 (od 17/5 w niedziele i święta).
Do Brzuchowic: 7.05* (od 17/5), 2.10 (od 17/5 w niedz. i święta), 8.30 (od 15/5), 8.14* (od 17/5 w niedziele i święta).
Do Tuchli: 8.05 (od 15/6).
Do Skolego 8.05 (od 1/5).
Do Pustomyt: 1.55 (od 1/6).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

Brylanty pani Hildebrand.

Doktor Moreau umiał doskonale opowiadać. Cóż dziwnego więc, że młode kobiety, w których gronie uczony lekarz, przyrodnik i psycholog bardzo chętnie przebywał, zachwycały się jego towarzystwem i prowadziły swoich mężów do salonów, w których mogły go spotkać. Ale mężczyźni wolą realne strony życia, niż idealne problemy. Nie można im brać za złe, że woleli grać w winta i pochłaniać bułeczki z kawiorem, niż słuchać opowiadania o brylantach pani Hildebrand.

Znałem panią Hildebrand — zaczął uczony — kiedy się jeszcze nazywała Adryanną Vermier i długiemi białemi paluszkami haftowała monogramy dla zarobienia pieniędzy. Z rąk tej nieszczęśliwej istoty można było odgadnąć całą jej niespokojną duszę: miałem dla niej zawsze prawdziwe współczucie, wprzód jeszcze nim poznałem tajemnicę jej życia. W chwili wzruszenia jej przejrzyste, nerwowe ręce zaczynały drżeć. Miały one dla mnie ogromną wymowę namiętności, przed którą ogarniał mnie lęk, wymowę, odsłaniającą przed okiem wprawnem w badaniu ludzi rozbudzone fatalne moce.

Podczas pewnych wakacyj, które Adryanna wraz z ojcem spędziła nad morzem, poznała w cichej miejscowości kąpielowej pana Hildebranda. Pan Hildebrand był wówczas bohaterem sezonu. Był to bogaty jubiler z Paryża, który szukał wytchnienia w ustronnym i odludnym zakątku, ażeby odpocząć po trudach wielkomiejskiego życia. Hildebrand był bardzo bogaty, poznać to można było na pierwszy rzut oka po wspaniałych klejnotach, które zdobiły nieskazitelnie śnieżysty gors jego bielizny i jego palce. Na zblazowanego Paryżanina delikatna piękność parafianki uczyniła natychmiast bardzo silne wrażenie.

Z początku zdawało mu się, że jego przymioty, właściwe wykwintnemu Paryżaninowi, dopomogą mu do łatwego zwycięstwa. Zrozumiał jednak wkrótce, że wysmukła dziewczyna posiada silną wolę i postępowaniem swojem kierować umie z całą świadomością celu. Opór, z jakim się spotykał, zaczynał go drażnić. Zresztą nie mieli żadnych punktów stycznych. Ona miała lat ośmnaście, on pięćdziesiąt; ona miała wszystkie śmieszne słabostki parafianki, on był Paryżaninem pełnej krwi, możnaby powiedzieć, że urodził się we fraku i w cylindrze; ona była dzieckiem w zakresie świata wrażeń, on sceptykiem we wszystkich sprawach uczucia. Było jednak jedno, w czem ich nerwy stykały się z sobą. Gdy Hildebrand bawił się rękami, a iskrzące się brylanty jego pierścieni promieniały w słońcu, błyski zimnego kamienia harmonizowały z błyskami oczu Hildebranda i panny Varnier.

Oboje kochali się w przykuwającej wzrok świetności, oboje wchłaniali w siebie z taką samą namiętnością duszę kamienia, ożywiającego się pod ich wzrokiem. To ich złączyło do tego stopnia, że pan Hildebrand pewnego dnia poprosił o rękę Adryanny.

Upłynęło lat cztery. Nie słyszałem przez ten czas o Adryannie. Pewnego dnia jednak w chwili, gdy po całodziennej praktyce wracałem zmęczony do domu, roznosiciel dzienników wetknął mi w ręce gazetę z sensacyjnym artykułem o niezwykłej kradzieży. Nazwisko Hildebrand, wydrukowane tłustemi czcionkami, wpadło mi w oczy. Odczytałem skwapliwie awanturnicze sprawozdanie.

Nie myliłem się: w grze był magazyn jubilerski Hildebranda. Dokonano niebywałej kradzieży; w wyrafinowany sposób podstępnie skradziono koronny brylant wartości dwóch milionów franków w obecności jubilera i małżonki jego, „królowej brylantów“, pani Hildebrand. Dzienniki nazajutrz rano podały bliższe szczegóły. Jakiś indyjski radża chciał skorzystać ze swego pobytu w Paryżu, aby olbrzymi brylant, który zdobił koronę jego przodków, oprawić w broszę. Robotę powierzył Hildebrandowi. Jako praktyczny kupiec, Hildebrand gotową już broszę umieścił na tle czarnego aksamitu pod szlifowanym kloszem szklanym i ustawił ją na ladzie sklepowej, nie na wystawie, dla większego bezpieczeństwa i dla pociągnięcia klientów do wnętrza sklepu.

Popołudniu około 7-ej, gdy już światło płonęło, zjawił się w sklepie wytwornie ubrany jegomość i kazał sobie pokazać zdobne brylantami zegarki. Oglądał przytem szczegółowo i podziwiał indyjski brylant. Nagle zgasło światło gazowe w sklepie, który pogrążył się w ciemnościach tem większych, że wystawa od wewnątrz odgrodzona była ciemną materyą. Gdy rozwidniono światło na nowo, wytworny jegomość już zniknął. Jako pamiątkę zabral z sobą trzy zegarki, zresztą małej wartości—oraz broszę z brylantem radży.

Policya rozwinęła natychmiast gorączkową działalność i udało się jej wreszcie aresztować trzech ludzi, podejrzanych o możność spełnienia kradzieży w danych warunkach. Wszyscy trzej wykazali jednak swoje alibi. Sprawca nie byłby więc nigdy wykryty, gdyby nie to, że przypadek sprowadził w ręce władzy z powodu innej sprawy niejakiego Pitarda. Pitard wówczas sam dobrowolnie wyznał, że był sprawcą kradzieży zegarków w sklepie Hildebranda, że skorzystał z przypadkowego zagaśnięcia światła, aby je zabrać, że jednak brylantu indyjskiego nie ruszał i nie rozumie, jak mógł zginąć. Policya i sąd były zdania, że Pitard dlatego dobrowolnie przyznał się do kradzieży zegarków, aby po odsiedzeniu małej kary zabezpieczyć się przed ściganiem go i spokojnie już wtedy sprzedać ukryty tymczasem brylant radży. Mimo wszelkich usiłowań i policyjnych zasadzek, nie udało się skłonić Pitarda, aby wykazał kryjówkę klejnotu. Odpokutował też swoją skrytość. Skazano go za kradzież nałogową na dziesięć lat kaźni.

— A brylant? Nie znalazł się nigdy potem? — zapytała niecierpliwie hrabina Bianka, przerywając opowiadanie doktora Moreau.— Ładnie musiał wyglądać ten biedny Hildebrand!

— Istotnie — odpowiedział Moreau. — Biedak musiał sprzedać sklep, aby wynagrodzić stratę. Zostało mu tylko tyle, aby mógł z biedą wśród oszczędności pędzić życie. Po kilku miesiącach, gdy zrozumiał, że żonie brak wielu rzeczy niezbędnych i że reszta mienia opędziłaby jej potrzeby, ale dla nich obojga nie wystarcza, kupił sobie pewnego dnia stryczek i powiesił się na drzwiach. Widzisz więc, hrabino, jak bardzo przykrą była ta afera dla pana Hildebranda.

W siedm lat dopiero po jego śmierci usłyszałem znowu o Adryannie. Pewnego wieczoru otrzymałem depeszę: „Przybywaj pan. Umieram. Adryanna Hildebrand“ i adres. W pół godziny potem wyjechałem do Nizzy.

Stanąłem przed żywopłotem, nad którym umieszczona była tabliczka mosiężna z nazwiskiem Adryanny. Słońce poranne wznosiło się ponad purpurowem morzem; w powietrzu unosiły się upajające zapachy.

Otworzyły się drzwi; wszedłem. Usłyszawszy lekki okrzyk kobiecy, stanąłem. Przedemną widniała wybladła postać, o włosach przyprószonych siwizną. Zbliżająca się śmierć pozostawiała ślady na zmiętych rysach. Kobieta ta nie miała więcej nad lat trzydzieści kilka. Adryanna spoczywała w altanie na szeslągu.

— Drogi panie, dziękuję — wyrzekła słabym głosem. — Usiądź pan i posłuchaj historyi moich cierpień. Nie mam czasu do stracenia. Widzisz to sam najlepiej.

Usiłowałem wybełkotać kilka słów pocieszenia. Uśmiechnęła się.

— Znasz pan — zaczęła — naturę moją. Odgadywałeś pan nieraz jej tajemnicę w moich latach dziecięcych. Nie rozczulaj mnie, stary przyjacielu. Opowiem ci rzecz tak straszną, że łzy nie potrafią jej zmyć. Pamiętasz pan sprawę owej kradzieży, która męża mego popchnęła w śmierć.

— Ach, tak! ów Pitard! — odrzekłem.

— Tak mniemali wszyscy, mimo jego zaprzeczeń. Biedny człowiek! Znaleziono u niego owe marne zegarki. Skazano go za to na dziesięć lat kaźni. Nieprawdaż? I od siedmiu lat cierpi za zbrodnię, którą ktoś inny popełnił.

Straszne przeczucie opanowało mój umysł.

— Mów pani — jęknąłem — zanim będzie zapóźno...

— Już... jest... za... późno!... — brzmiała odpowiedź. Po chwili Adryanna mówiła dalej, przerywając sprawozdanie suchotniczym kaszlem:

— Nie śmiej się doktorze! Ja się zakochałam w tym kamieniu! Wielbiłam go! On był mojem bożyszczem! Godzinami trzymałam go w rękach i kąpałam w blaskach słońca! Całowałam go namiętnie jakby żywą istotę. Nadszedł wreszcie dzień, w którym go miałam stracić na zawsze. Mój mąż nie był dość bogaty, aby go kupić. Wiedziałam o tem. To też w myślach moich dojrzał plan nikczemny — tak nikczemny, jak moja namiętność. Byłam w sklepie gdy wszedł ten nieszczęśliwy człowiek: odczułam jego pożądanie. Błyskawicą przeszła mi przez głowę myśl: teraz albo nigdy! W jednej chwili zakręciłam gaz. Bezwiednie podniosłam klosz, przykrywający brylant i chwyciłam za upragniony klejnot. Niech się teraz dzieje co chce — myślałam. Mam go i zatrzymam, dopóki żyć będę, będę się rozkoszowała jego blaskiem. Co mnie to obchodzi, że ktoś inny, że cały świat zginie. Byłam szczęśliwa. Nemezys jednak pomściła się... Mój mąż... Wiesz pan co się stało. Przeczuwałam katastrofę, widząc jego ponury wzrok i bladą twarz. Przez sen mówił o swojej rozpaczy, o złamanem życiu. Wiedziałam wszystko, wszystko. Wiedziałam, że jednem słowem mogę go wyratować, gdybym chciała. Walczyłam z sobą. Daremnie! Namiętność moja zwyciężyła.

Spojrzałem na ręce Adryany: drżały jak dawniej. Te ręce — myślałem — te przeklęte piękne ręce winne są całemu nieszczęściu.

Adryanna lękliwie śledziła mój wzrok. Nagle, jakby odgadła myśli moje, zawołała: „Ach! gdybym się była urodziła bez rąk! One są winne, że najdroższy mój klejnot — zgubiłam! One zabrały mi zbrodniczo szczęście mego życia“.

Wzdrygnąłem się. Jakto! I teraz jeszcze wobec majestatu śmierci, żadnego żalu nad występkiem? Ciągle jeszcze namiętna miłość do bezdusznego kamienia? A my mówimy, że znamy serce ludzkie!

Z głuchą rezygnacyą mówiła dalej Adryanna:

— W łodzi... na pełnem, nieskończonem, niebieskiem morzu... Na niebie żadnej chmurki, tylko słońce! Dokoła blask i migotanie. A w mojej ręce król klejnotów, mój brylant! Słońce go pieściło, on pił jego pocałunki. Nagle... nieostrożny ruch... łódź się chwieje.... z przestrachu tracę panowanie nad rękami... kamień wysuwa się z nich i wpada w głębie morza... na zawsze!

Gorące łzy płynęły po twarzy Adryanny.

— Odtąd byłam sama, zupełnie sama!

W kilka tygodni potem odbył się pogrzeb Adryanny. I cóż, moje panie? nie dziwicie się miłości pani Hildebrand?...

K O N I E C.